

Zapostazją
Kościołowi
nie do twarzy

Polska
zbrodnia
stanu

Prekariuszki
wszystkich
zawodów

Łódzkie
dziadostwo
patrzy na Detroit

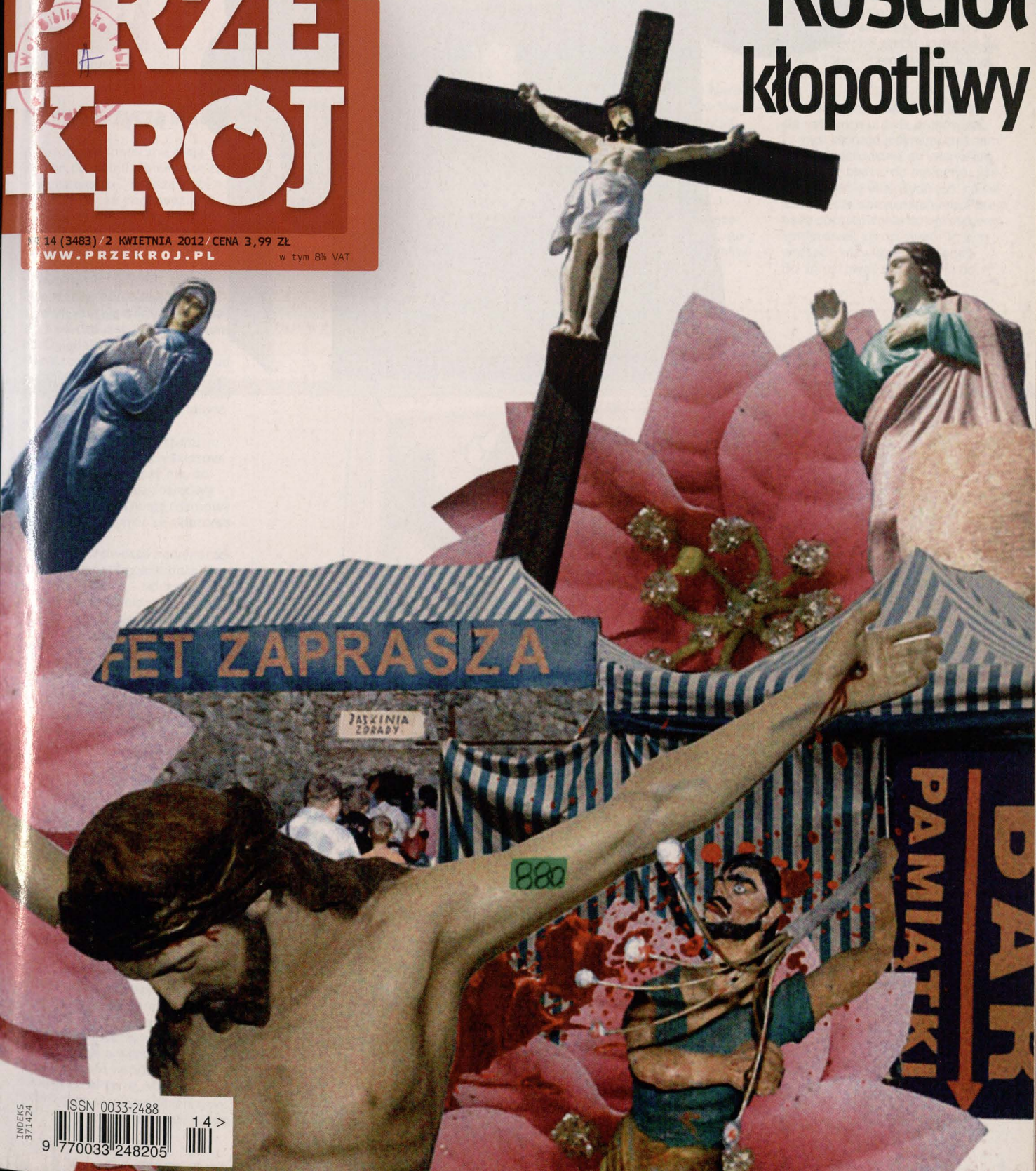
PRZE KROJ

14 (3483) / 2 KWIETNIA 2012 / CENA 3,99 ZŁ

WWW.PRZEKROJ.PL

w tym 8% VAT

Kościół kłopotliwy



INDICES
371424

ISSN 0033-2488

9 770033 248205

14 >



DOSTAWA JEDZENIA DO DOMU I BIURA
WINO I JEDZENIE Z PONAD 50. NAJLEPSZYCH
RESTAURACJI W WARSZAWIE

Z
=
N

dziki ryż

izumi sushi

Gwiazdeczka

PIĘKNA
BISTRO

Sweet Home
patisserie & café



nu
nu
nu

i wiele innych...

(22) 244 21 21

royalmenu.pl



**PRZE
KROJ**

Założony w roku 1945
w Krakowie redaktor
Marian Elle

O czym krzyczą skłoty

Protesty społeczne mają to do siebie, że zawsze zaskakują władzę. Władza jest przekonana, że ponieważ jest władzą, to wie. Umie. Panuje nad sytuacją, nad problemami. I nagle pojawia się ktoś, grupa kłósiów i kłósiok, którzy i które mówią swoim głosem, mówią inne rzeczy, poruszają nowe sprawy, rzucają odmienne światło. I władza jest zdezorientowana. Oglądaliśmy to przy ACTA. Pełne zaskoczenie, całkowita odporność. Do czasu. Potem przyszło opamiętanie, czyli wysłuchanie racji protestujących. Zmiana postawy.

Podobnie jest z protestami wokół pacyfikowanych skłotów. Czy Elba zostanie, czy nie, zobaczymy. Ale trwają rozmowy władz dzielnicy, trwają rozmowy właściciela budynku ze skłotersami. Zmiana.

Podobnie w kwestii nowej przestrzeni zwanej Przychodnią. Zaczęło się fatalnie – od interwencji policji na wezwanie urzędników zen, skończyło się na zaproszeniu do rozmów przedstawicieli kolektywu Przychodnia przez wiceprezydenta Warszawy. Rozmowy się zaczęły. Tylko naburmuszony burmistrz Śródmieścia siedział jak na mękach. On, jako zagorzały korwinista, lubi dzielnicę bogatą, wylaszczoną, wygarniturowaną, wysushinowaną, elegancką i drogą. Nie lubi zbędnych ubogich.

A spór o skłoty nie jest sporem tylko o miejsce dla alternatywnych działań i środowisk. To fundamentalny spór o kształt polityki, o realność decyzji miejskich, o wizję rozwoju takiego miasta jak Warszawa. To powrót podstawowych pytań politycznych. O sprawiedliwość. O wolność. O wspólnotę. O kształt przyszłości. Władze Warszawy wykonały gest otwarcia. Należy to docenić. Najważniejsze dla miasta pytania postawiły niepokorne środowiska, niezauważalne, niewiedzialne. Nie pytają o własny interes. Pytają o dobro wspólne, jakim jest miasto w XXI w. Miasto to nie firma. Rozmawiajcie i zmieniajcie.

ROMAN KURKIEWICZ

W TYM TYGODNIU

NIE PISZEMY O TYM...

... że córka zamordowanej w niewyjaśnionych okolicznościach warszawskiej działaczki ruchu lokatorskiego Jolanty Brzeskiej została pozwana do spłaty długu mamy wobec właścicieli odzyskanej kamienicy, którzy szykanowali Brzeską. Sprawę odroczone. Pozywający nie raczyli się pojawić w sądzie.

... że Zbigniewowi Siemiątkowskiemu, byłemu szefowi Agencji Wywiadu, politykowi s.d., postawiono już 10 stycznia zarzuty związane z istnieniem tajnego więzienia CIA w Polsce, gdzie przetrzymywano i torturowano podejrzewanych o terroryzm. Cała polska klasa polityczna idzie w tej sprawie w zapar-

te. A powinna iść siedzieć lub sobie po prostu odejść.

... co w Parlamencie Europejskim wygadywał Jarosław Kaczyński o „zamachu” smoleńskim. Wszak zbliża się druga rocznica.

... że Marek Belka, prezes Narodowego Banku Polskiego, w wywiadzie dla dziennika „Financial Times Deutschland” zaproponował Grecji wprowadzenie drugiej lokalnej waluty. Bo pierwszy zrobił to Bartek Kozek w „Przekroju”.

... że jest nowa ustawa o weteranach. I że ministerstwo przygotowuje odwrót naszych oddziałów z Afganistanu.

... że w zeszłym tygodniu przenieśliśmy Kanał Augustowski w miejsce Kanału Ostródzko-Elbląskiego, pisząc o radnych Ostródy, którzy dla „własnego” kanału kupili za szerokie statki, które na datek toną. Przepraszamy Kanał Augustowski.

... o nowym, senackim projekcie ustawy o prawie prasowym, w myśl którego jedynymi treściami będą sprostowania do wszystkich, co się ukaże, do momentu, kiedy będzie się ukazywać coś, co nie jest jeszcze sprostowaniem. Potem będą sprostowania do sprostowań sprostowań. Trzeba wreszcie rozwiązać ten Senat. Bo sprostować się tego nie da.

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

**O UJAWNIENIU TAJNYCH WIĘZIEŃ NA MAZURACH:
ŻE TAM SĄ MAMRY, WIEDZIELI WSZYSCY.**

SPIS TREŚCI

PRZED WSZYSTKIM

- 8 **Polski papież krytyk się nie boi.** Czy wywiady Piotra Szumlewicza są zbyt krytyczne wobec Jana Pawła II, żeby wzbudzić krytyczną debatę? Czy taka debata jest w ogóle możliwa? O tym w kolejnej Kłótni Przekroju
- 13 **O zbawiennych skutkach słuchania Radia Maryja** przekonuje Hubert Klimko-Dobrzaniecki
- 14 **Kościół myśli o swoich członkach jako o czymś, co jest jego własnością i ma się słuchać.** Czy sakramenty to nieusuwalne piętno zastanawia się Tadeusz Bartoś
- 16 **Ekskomunikujcie nas natychmiast!** – domagają się uczestnicy zbiorowej apostazji. Chcą wystąpić z Kościoła na własnych warunkach, bo nie czują się petentami. Relacja Andrzeja Ficowskiego
- 18 **Kogo i przed czym tak naprawdę chronią przepisy o ochronie uczuć religijnych** zastanawia się w felietonie Marcin Orliński
- 19 **Anna Grodzka wyjaśnia, dlaczego broni Telewizji Trwam** w felietonie z drugiej strony lustra
- 20 **Czy coś łączy fanki Kasi Tusk z wielbiczkami Kazi Szczuki?** Z artykułem Wojciecha Orlińskiego polemizują Aleksandra Bilewicz i Julia Kubisa
- 23 **O bezszelestnych reformach rządu** pisze Adam Ostolski
- 24 **Co dalej ze skłótną Przychodnia,** który działa od kilku dni, a już zdołał wywołać zamieszki uliczne i skłonić władze Warszawy do podjęcia negocjacji? Zastanawia się Krzysztof Pacewicz
- 26 **Z byłym europarlamentarzystą, senatorem PO Józefem Piniorem, od lat próbującym wyjaśnić sprawę tajnych więzień CIA w Polsce,** rozmawia Stefan Zgliczyński
- 27 **Zebek robi się podejrzanie miły** – donosi w swoim felietonie Tomasz Piątek

MARK RACZKOWSKI



CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 28 **Doktor Ancel Keys przez rok głodził i uważnie obserwował ochotników.** Co z tego wynikło, zastanawia się Tomasz Boreja
- 31 **Po co zebrom paski?** Na pytania odpowiada Joanna Omorska

KONIEC Z KULTURĄ

- 32 **Fragmenty „Nic do gadania”** – książki Gerarda Mannixa Flynna poświęconej przemocy seksualnej w irlandzkich szkołach i poprawczakach – przedstawia Jankowicz
- 36 **Polskie kino na obecność religii we współczesnym świecie wydaje się głuche** – diagnozuje Marmurek
- 38 **O proteście środowiska teatralnego** pisze Mrozek
- 40 **O projekcie „After the Factory”** i nie tylko opowiada Jarkowicz
- 43 **Hanna Gill-Piątek przeżyła dzień głupich poczuć.** Felieton Zielonym okiem

RECENZJE

- 44 **Książki:** Mościcki analizuje „Wojnę powietrzną i literaturę” Sebalda
- 46 **Muzyka:** Skolimowski podróżuje z Kapelą Ze Wsi Warszawa
- 47 **Komiks:** Tomczuk obnaża perwersję Kaczora Donalda po lekturze książki Ruska
- 48 **Film:** Żurawiecki rozczarowany „Czarnym oceanem” Hansel

ZAWSZE W PRZEKROJU

- 49 – 50 **Rozmaitości z krzyżówką** i Lewomyślnie Kurkiewicza
- 3, 4, 16, 26, 39, 49, 50 **Raczkowski**

PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI: ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa, faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00, 22 628 34 01 do 09, www.przekroj.pl, e-mail: doredakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl **REDAKCJA ZESPÓŁ:** Roman Kurkiewicz (redaktor naczelny), Aleksandra Bilewicz, Katarzyna Czarna, Weronika Kostyrko, Julia Kubisa, Jacek Tomczuk, Maria Świetlik **ROZMOWY:** Kasper Skirgajło-Krajewski **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Andrzej Figatowski **FOTODZIENNIK:** foto@przekroj.pl, Katarzyna Serek, Franciszek Mazur **KOREKTA:** Ling Brett **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Bogumiła Kreczmańska, Bartosz Wojcik, Tomasz Kieras, Krzysztof Rzeszutek **STRONA INTERNETOWA I IPAD:** serwisypłatne@rp.pl, Cezary Niewiarowski, Renata Wróbel

GREMI GRUPA

WYDAWCA: PRESSPUBLICA SP. Z O.O. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa **PROMOCJA I MARKETING:** promocja@przekroj.pl, Jakub Maszkowski, Milena Ostolska **BIURO REKLAMY:** Presspublica Sp. z o.o. ul. Prosta 51, 00-838 Warszawa; faks: 22 628 05 88, 22 463 00 00; automatyczna centrala telefoniczna: 22 4630 + numer wewnętrzny; łączenie przez telefonistkę 22 628 34 01 do 09 **DYREKTOR DZIAŁU AGENCJYNIEGO:** Filip Weichert – 22 463 01 88 reklainfo@presspublica.pl druk: RR Donnelly

PRENUMERATA TYGODNIKA „PRZEKROJ”

PRENUMERATA REDAKCYJNA Cena prenumeraty 2012 r.: roczna: 166,40 zł, półroczna: 83,20 zł, kwartalna: 41,60 zł Zamówienie na prenumeratę należy składać: e-mailem: prenumerata@przekroj.pl lub faksem: 22 621 22 61. Dodatkowe informacje pod nr. tel. 800 120 195 **PRENUMERATA KOLPORTERSKA** oddziały Ruch SA, www.prenumerata.ruch.com.pl, urzędy pocztowe **PRENUMERATA e-WYDANIA** www.egazety.pl **PRENUMERATA ZAGRANICZNA** Ruch SA www.ruch.pol.pl; 22 693 67 75, 22 693 67 82, 22 693 67 18

DOSTĘP NA STRONĘ WWW I WERSJĘ NA IPADA

Cena abonamentu na iPad i w Internecie: tygodniowy – 3,69 zł, kwartalny – 30,75 zł; roczny (z rabatem 30 proc.) – 99 zł. Do wykupienia na www.przekroj.pl oraz w App Store. Informacje: wsparcie@przekroj.pl



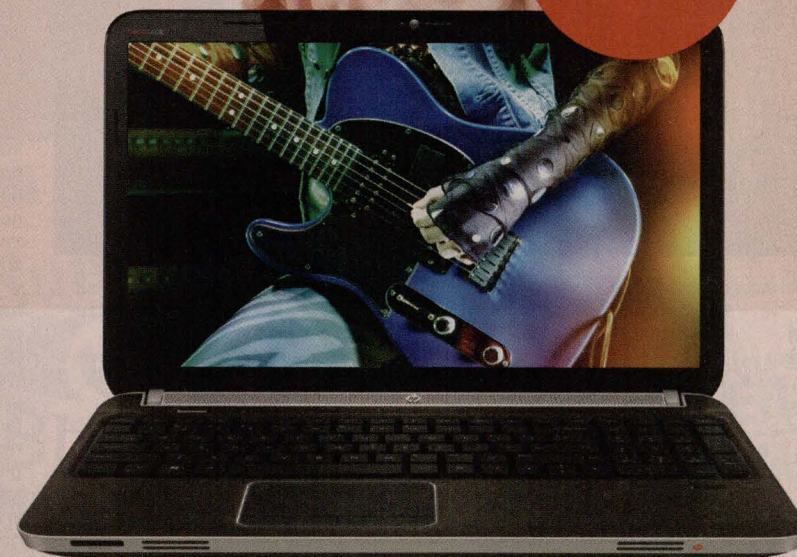
Okladka: Balbina Brusewska



Artykułów niezamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skróć w nadesłanych artykułach i listach.



wszystkie chwyt
dozwolone



Wysoka jakość... to umie. Rozrywkowy... taki jest.

HP Pavilion dv6-6120sw
Z procesorem Intel® Core™ i3-2310M

2199,-

SFERIS

Everybody On **hp**

więcej modeli HP w sklepie internetowym SFERIS.PL

Ultrabook, Celeron, Celeron Inside, Core Inside, Intel, Intel Logo, Intel Atom, Intel Atom Inside, Intel Core, Intel Inside, Intel Inside Logo, Intel vPro, Itanium, Itanium Inside, Pentium, Pentium Inside, vPro Inside, Xeon, and Xeon Inside are trademarks of Intel Corporation in the U.S. and/or other countries. For more information about the Intel processor feature rating, please refer to www.intel.com/go/rating.



UPRZEJMIEM INFORMUJEMY

BISKUPI GANIĄ POLAKÓW ZA MATERIALIZM



Po posiedzeniu Episkopatu Polski biskupi zwrócili się z apelem do mediów o obiektywne podejście do opisywania Kościoła. A poza tym podzielili się swoim rozczarowaniem demokracją, kapitalizmem i Polakami. Akcenty autokrytyczne się nie pojawiły. Mówiono tak:

„Szczególnie niepokoi to, że centralną pozycję w życiu gospodarczym w miejsce człowieka zajął pieniądź. To właśnie olbrzymia żądza posiadania pieniędzy, i to takich, których żaden człowiek nie jest w stanie wydać w ciągu swo-

jego życia, była jednym z powodów obecnego kryzysu gospodarki i wartości”.

• „Kwestionowanie nauczania religii w szkole, brak tolerancji dla symboli religijnych w miejscach publicznych, ciągłe ataki na krzyż w szkole, szpitalu, a teraz w Sejmie – to tylko niektóre przykłady zawołanej dyskryminacji ludzi wierzących pod hasłami świeckości państwa i jego instytucji”.

• „Publiczne bluźnierstwa, połączone z beczeszczaniem Biblii, krzy-

ża i innych symboli religijnych są aktem profanacji i godzą w uczucia religijne ludzi wierzących oraz są pogwałceniem ich prawa do wolności religijnej”.

• „Żyjemy w wolnym, demokratycznym społeczeństwie, nie boimy się rzetelnej krytyki. Dostrzegamy jednak, że pragnieniu demaskowania niepokojących zjawisk towarzyszy nieraz pewien rodzaj satysfakcji z kompromitowania”.

• „Kościół nie liczy na żadną taryfę ulgową”.

MORDOWANIE UKRAIŃSKICH PSÓW TRWA!

Trzecia już w tym roku demonstracja w obronie psów i kotów masowo zabijanych na Ukrainie ruszyła spod ambasady tego kraju 31 marca z inicjatywy fundacji Viva! i Warszawskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Tym razem była to część ogólnoeuropejskiego protestu, w którym wzięło udział 16 państw. Na samej tylko Ukrainie protestowano aż w 13 miastach.

Pretekstem do masowego uśmiercania psów są zbliżające się mistrzostwa Europy w piłce nożnej Euro 2012. Jak donoszą aktywiści ukraińskich organizacji prozwierzęcych, wbrew wcześniejszym zapewnieniom władz zwierzęta są nadal zabijane na ogromną skalę. Szacuje się, że w ciągu roku zginęło ich ponad 9 tys.

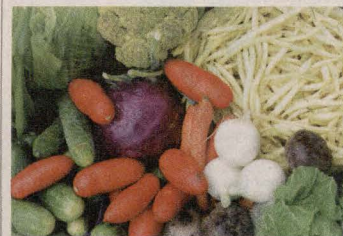
Po gwałtownych protestach, które odbyły się w całej Europie, na Ukrainie wycofano z użycia mobilne krematoria, w których palono zabite lub jedynie ogłuszone zwierzęta, i wprowadzono truciźną, powodującą powolną śmierć w bólach. Sprawa nie dotyczy jedynie bezpańskich zwierząt, bowiem zdarza się, że w ręce hucy trafiają wolno biegające psy, które mają właścicieli. Zwłoki zwierząt trafiają do zbiorowych grobów, a zakopywanie psów w ziemi przewrotnie nazywane jest „mineralizacją gleby”.

Protestujący w sobotę pokazywali zdjęcia zabitych czworonożników, zapalili znicze i uczcili ich pięć minutą ciszy. Oczekują, że polskie władze w końcu zajmą stanowisko w tej sprawie.

TOMASZ SIKORA

ZJAZD KOOPERATYW W WARSZAWIE

„Razem dokonamy przełomu!” – pod takim hasłem spotkają się członkowie i członkinie kooperatyw spożywczych



Otwartym Zjeździe Kooperatyw Spożywczych odbędzie się w Warszawie dniach 14–15 kwietnia. Organizują go Warszawska i Łódzka Kooperatywa Spożywcza. To pierwsza taka inicjatywa w Polsce. Na zjeździe spotkają się członkowie i członkinie spółdzielni spożywczych z całej Polski, będą też goście z zagranicy.

Kooperatywy spożywcze to oddolne zrzeszenia osób, które chcą kupować jedzenie (przede wszystkim warzywa i owoce) bezpośrednio od rolników. Stawiają na żywność lokalną, sezonową i ekologiczną, która dzięki pominięciu pośredników ma także przystępną cenę. Istotną jest również demokratyczna organizacja koope-

ratyw i wkład pracy wszystkich członków i członkiń, którzy zamieniają się obowiązkami.

Kooperatywy nawiązują do długiej spółdzielczej tradycji, choć powstają od niedawna. Pierwsza, warszawska, powstała ponad dwa lata temu. Następna była łódzka – istnieje rok. Obecnie kooperatywy funkcjonują (lub zakładają się) w innych miastach (Lublin, Gdańsk, Poznań, Szczecin i inne), a także w różnych dzielnicach Warszawy.

Zjazd to okazja prezentacji kooperatyw i wymiany doświadczeń. Zaplanowano także wykład o historii spółdzielczości, World Cafe – dyskusje przy stolikach i warsztaty, dotyczące m.in. rolnictwa wspieranego przez społeczność („com-

munity supported agriculture”), działania w grupach niehierarchicznych, wspólnej własności czy kultury gleby w rolnictwie ekologicznym. Pierwszego dnia uczestnicy zjazdu będą mogli porozmawiać z działaczami i działaczkami Kooperatywy Kopenhaskiej Garten-Coop z Freiburga, L'epi Noir („Czarny kłós”) z Lyonu oraz Kooperatywy z Pragi.

Zjazd odbędzie się w studiu Cukry przy ul. Ogrodowej 31/35 w Warszawie. Aby wziąć w nim udział, należy do 4 kwietnia wypełnić formularz zgłoszeniowy na stronie www.zjazdkooperatyw.tk. Tam też znajduje się szczegółowy program zjazdu.

ALEKSANDRA BILEWICZ

OFFplus+ camera

INTERNATIONAL FESTIVAL OF INDEPENDENT CINEMA

KRAKÓW
13-22.04.2012

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa
zaprasza



www.offpluscamera.com

Sponsor tytularny

plus+

Sponsorzy główni

allegro

NOBLE BANK

Mecenasi

KRAKÓW
sekw.pl

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego
Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

POLSKI INSTYTUT Sztuki FILMOWEJ

Stowarzyszenie
Filmowców
Polskich

Partnerzy

APART

Grolsch

SAMSUNG

Współorganizatorzy

kbf

6

KrakowFilm
Commission

Stowarzyszenie
Sztuki
Niezależnej i Nie Tyko
OFF CAMERA

Patroni medialni

Classic

PRZEKROJ

pap

Gala

Art&Business

ams

onet

tvn24

tvn



Polski papież krytyk się nie boi

NIE LĘKAJĆ
SIĘ ZIEMI
TEJ ZIEMI



Czy książka „Ojciec nieświęty” to konstruktywna krytyka Kościoła, czy walenie punkt po punkcie w centrum katolicyzmu?

Roman Kurkiewicz: Z różnych perspektyw – teologicznej, ateistycznej, protestanckiej – pisaliście o Kościele i Janie Pawle II. Co sądzicie o książce „Ojciec nieświęty. Krytyczne głosy o Janie Pawle II” pod redakcją Piotra Szumlewicza?

Luiza Wawrzyńska-Furman: Mnie uderzyło, że Szumlewicz wybrał na rozmówców osoby skrajnie krytyczne wobec Kościoła i katolicyzmu. Nie ma wśród nich takiej, po której byśmy się spodziewali, że powie coś pozytywnego.

Tomasz Piątek: Ale osób mówiących coś pozytywnego jest w mediach od cholery i ciut, ciut.

Kurkiewicz: Podstawowe pytanie brzmi, czy w Polsce słyszeliśmy głos krytyczny wobec Jana Pawła II albo czy już go możemy usłyszeć. Jak dotąd papież jest niekrytykowany.

Mateusz Luft: Jako przedstawicielowi katolickiej lewicy zależy mi na tym, żeby idee walki z nieprawdą społeczną, pomocy ludziom, którzy są w jakiś sposób upośledzeni przez okoliczności, łączyć z katolicyzmem i z przesłaniem humanistycznym.

Przeczytałem tę książkę i widzę ją jako totalne, całkowite zaprzeczenie jakiegokolwiek dialogu. Trudno się spodziewać, że katolik ją przeczyta i powie: rzeczywiście, ten nasz Kościół jest taki zły, trzeba go reformować. Już na początku pojawia się przesłanie, że papież to osoba, która powinna zawisnąć na pierwszej gałęzi.

Kurkiewicz: Jan Paweł II, nasz papież Polak...

Luft: Ja nie mam sentymentalnego podejścia do papieża. Mnie ten pontyfikat jakoś ominął, w moim życiu nie był znaczący. Ale „Ojciec nieświęty” to nie jest konstruktywna krytyka, ręka wyciągnięta z prośbą o jakąś zmianę. To jest walenie z zewnątrz punkt po punkcie w centrum katolicyzmu.

Kurkiewicz: Dlaczego akurat głos krytyków Jana Pawła II, prawie nieobecny w debacie publicznej, ma spełniać warunki konstruktywnej krytyki?

Bilewicz: Moim zdaniem warto się zastanowić nad społecznymi konsekwencjami takiej książki jak „Ojciec nieświęty”. Myślę, że krytyka papieża i Kościoła jest potrzebna, ale zapytajmy o cele środowiska lewicowego, które reprezentuje Piotr Szumlewicz, a także wielu jego rozmówców.

Trudno sobie wyobrazić, że usłyszawszy tak bezwzględną krytykę, wszyscy katolicy jak jeden mąż odepną od Kościoła – zwłaszcza w krajach pozaeuropejskich, gdzie Kościół katolicki jest silniejszy. Pragmatyczniej byłoby spytać, jak lewica może sprawić, żeby Kościół katolicki przyczynił się do zmiany społeczeństwa na bardziej sprawiedliwe, egalitarne, demokratyczne.

Domosławski: Zgodnie z prawem wahadła musiała się okazać książka tak jednoznacznie krytyczna – bo tej krytyki było tak bardzo mało. Ile tekstów krytycznych pojawiło się w sferze publicznej za życia Jana Pawła II? Krytyka była uciszana, nawet umiarkowaną atakowano jako radykalną.

Wawrzyńska-Furman: Ale dla kogo jest książka Szumlewicza? Ludzie z Kościoła po nią nie sięgną, ultrakatolicy powiedzą, że to jest śmieć. Sięgną po nią tylko ci, którzy mają krytyczne zdanie o papieżu – ale oni i tak to wiedzą. Trzeba otwierać sam Kościół na krytykę, wchodzić do niego z tą krytyką.

Bartoś: Jak ludzie chcą napisać, co uważają o Janie Pawle II, to niech się zwołują i sobie piszą. Jak nie chcą być dialogiczni, tylko krytyczni, to niech będą.

W Polsce narasta polaryzacja między laicką a kościelną sferą życia, narastanie niechęci i wzajemnej krytyki trzeba odnotować. A w głównych mediach wciąż funkcjonuje autocenzura.

Bilewicz: Z tej książki dowiedziałam się, że w wielu krajach świata katolicy są bardzo krytyczni wobec Jana Pawła II, że urządzają protesty, demonstracje, także księża wypowiadają się krytycznie.

ROZMAWIALI:



Tadeusz Bartoś

filozof, teolog, publicysta, były dominikanin. Autor wydanej w 2008 r. książki „Jan Paweł II. Analiza krytyczna”



Artur Domosławski

dziennikarz „Polityki”, zajmuje się tematyką ruchu alterglobalistycznego i Ameryki Łacińskiej, autor m.in. „Gorączki latynoamerykańskiej” i „Kapuściński non-fiction”. W 1999 r. wydał książkę „Chrystus bez karabinu. O pontyfikacie Jana Pawła II”



Mateusz Luft

redaktor działu „Obywatel” w kwartalniku „Kontakt. Magazyn nieuziemiony” wydawanego przez Klub Inteligencji Katolickiej



Tomasz Piątek

pisarz, publicysta, felietonista „Przekroju”, autor książki „Antypapież” (2011)



Luiza Wawrzyńska-Furman

doktorka teologii katolickiej, pedagogka, autorka książki „Judaizm a ekumenizm w świecie nauczania Jana Pawła II” (2009)



Roman Kurkiewicz

redaktor naczelny „Przekroju”



Aleksandra Bilewicz

socjolożka, redaktorka „Przekroju”

→ W Polsce nie ma katolickiego sprzeciwu wobec Jana Pawła II i jego spuścizny.

Kurkiewicz: Wszyscy księża, którzy się w Polsce wypowiadali albo usiłowali wypowiadać krytycznie, są dziś poza Kościołem.

Bilewicz: Może u nas jedynie ateści są w stanie krytykować Jana Pawła II i książka Szumlewicza jest tego przykładem.

Luft: Dla mnie ważne jest pytanie o możliwość debaty wewnątrz Kościoła. Są rzeczy niepodważalne (boskość Chrystusa), ale są też obszary, w których jesteśmy w stanie się spierać.

Jan Paweł II, Polska i kapitalizm

Kurkiewicz: Zastanówmy się, co Jan Paweł II zrobił Kościołowi, co zrobił Polsce i co Polska sobie zrobiła z niego. Co papież za Polskę zalał dzisiaj, ten papież zmitologizowany, papież gipsowy?

Bilewicz: Po przeczytaniu książki nie do końca rozumiem, jaki był realny wpływ osoby papieża na sytuację polityczno-społeczną w Polsce. Z jednej strony miał się przyczynić do zwrotu konserwatywnego w polskim społeczeństwie, a z drugiej strony rozmówcy Szumlewicza sugerują, że polscy katolicy ignorują nauki papieskie w sferze obyczajowej.

Piątek: Kiedy czci się bożka, to efekty są fasadowe, bo bożek jest fasadą.

Kurkiewicz: Papież stworzył władzę dzisiejszego polskiego Kościoła, awansując tych, a nie innych ludzi. Funkcjonowanie przez 21 lat na skandalicznych zasadach wspólnej Komisji Majątkowej pokazuje tę władzę, która się okazała władzą nie symboliczną, ale rzeczywistą, wymierną, policzalną.

Luft: W sprawach finansowych Kościół powinien jak najbardziej się samoograniczyć, co oczywiście brzmi idealistycznie.

Ja bym nie zwał odpowiedzialności za bezkrytyczne uwielbienie papieża na samego Karola Wojtyłę, ale na klimat polityczny, który w Polsce panował. Kult jednostki, do przesady rozwinięty, bezkrytyczny, ludowy, był odpowiedzialny na szok roku 1989.

Bartoś: Entuzjazm przejawiający się na pielgrzymkach papieskich stał się symbolicznym spoiwem przemiany ustrojowej w Polsce. Niestety ten entuzjazm powodował, że Kościół dostawał od państwa praktycznie wszystko, czego sobie życzył. Ten mechanizm stworzył komisję majątkową i pozwolił Mazowieckiemu wprowadzić religię do szkół. „Papież prosi” znaczyło: „papież poleca”. To przeszło na całą hierarchię kościelną: proboszcz prosi, to znaczy, że burmistrz dostał polecenie.

Bilewicz: Ciekawa jest perspektywa polskiej peryferyjności i jej kompleksu jako źródła

pomnikowości Jana Pawła II. To jest Polak, któremu się udało.

Domosławski: Mnie ciekawi, dlaczego cały establishment polski (może z wyjątkiem jakiegoś odłamu SLD, choć to SLD wynegocjował po cichu konkordat) bił pokłony Janowi Pawłowi II. A gdy papież wypowiedział się stanowczo przeciwko wojnie w Iraku, to ten establishment nabrał wody w usta. Papieża traktowano jako złotego cielca i nie słuchano, co on mówi.

Bilewicz: Czy papież był konsekwentnym krytykiem kapitalizmu?

Domosławski: Ten wątek w myśli papieża ulega ewolucji.



Piątek: Był dobrym marketerem, sprzedawał to, co w danej chwili się dobrze sprzedawało.

Domosławski: Po pierwszych encyklikach okrzyknięto go na świecie papieżem socjalistą. Jan Paweł II odwoływał się wtedy, na co zwrócił uwagę Karol Modzelewski, do wczesnego Marksza. Po 1989 r., gdy świat zachłysnął się ideą końca historii, demokracją liberalną i wolnym rynkiem, próbował ten kapitalizm rehabilitować, z rozmaitymi zastrzeżeniami. Z perspektywy neoliberalów i tak te encykliki były socjaldemokratyczne, tak właśnie oceniał „Centissimus Annos” ich guru Milton Friedman.

Pod koniec lat 90., gdy kapitalizm pokazał swoje brzydkie zęby, papież w adhortacjach apostołskich w USA i w Ameryce Łacińskiej przemawiał językiem znacznie bardziej radykalnym niż „Krytyka Polityczna” kiedykolwiek mówiła o neoliberalizmie. Do końca nie wyrzucił ze swojego słownika takiego terminu jak „wyzysk”, który w Polsce wyrzucono na śmietnik po 1989 r.

Wydaje mi się, że akurat lewica powinna wziąć sobie do serca papieską krytykę kapitalizmu i upatrywać w nim – może nie sojusznika, ale kogoś, kto dostrzegał i diagnozował niektóre problemy podobnie jak ona.

Luft: Papieska krytyka kapitalizmu nie została wystarczająco zauważona w Polsce. Ja dziś nie słyszę z ambony o kryzysie. Słyszę o aborcji, o in vitro, nic o tym, co jest moim bieżącym problemem, jak stosunki pracy albo nierówności ekonomiczne.

Bartoś: Niejednoznaczność papieskiej oceny kapitalizmu wynikała z tego, że nad papieżem „pracowała” grupa amerykańskich neokonserwatystów, jak pisarz katolicki George Weigel, była ambasador USA w Watykanie Mary Ann Glendon, pisarz i dyplomata Michael Novak. To oni doprowadzili do tego, że w 1991 r. w „Centissimus Annus” pojawia się pochwała zysku jako oznaki zdrowia. Encykliki papieskie – poza pierwszą – nie były samodzielnym dziełem papieża.

Bilewicz: Z książki Szumlewicza wynika, że papież był zagorzałym antykomunistą, a niekoniecznie antykapalistą. Dziennikarka „Polityki” Agnieszka Zakrzewicz opowiada na przykład, że papież akceptował nadużycia finansowe banków watykańskich w imię walki z komunizmem, prawdopodobnie finansując m.in. „Solidarność”.

Piątek: W imię walki z komunizmem wspierał też dyktatorów, którzy mordowali ludzi w Ameryce Łacińskiej.

Domosławski: Mówienie takim językiem kompletnie skrzywia to, co on w Ameryce Łacińskiej naprawdę robił. Byłem akurat jedną z pierwszych osób, może pierwszą, która krytykowała papieża w Polsce za zdemontowanie teologii wyzwolenia. Nie powiedziałbym jednak, że papież współpracował z dyktatorami.

Piątek: Wspierał, powiedziałem.

Domosławski: Papież wykonał wiele gestów, które świadczyły, że ich nie wspierał. W Brazylii uczynił publiczny gest wsparcia dla prześladowanego Heldera Camary, zwanego „biskupem slumsów”. Ale prawdą jest, że milczał w Argentynie w czasie rzezi tysięcy niewinnych.

Piątek: Kiedy przyjechały do niego zakonnice prosić, żeby ujął się przynajmniej za

dziećmi „desaparecidos” – tych, którzy zostali zrzućeni do oceanu – usłyszały: „Zajęłyście się lepiej losem sierot w krajach komunistycznych”.

Domosławski: Ja o tym nie słyszałem. W tej książce pojawia się zarzut, że papież wspierał Pinocheta. To narracja dalece uproszczona, choć papież popełnił pewnego rodzaju niezręczność: pojawił się z nim na balkonie w pałacu Lamónella. Ale w czasie tej samej wizyty objął kobietę, której twarz została spalona przez żołdaków Pinocheta, a podczas mszy na stadionie wspomniął, co się w tym miejscu działo tuż po zamachu stanu. Tamta pielgrzymka zdaniem samych Chilijczyków raczej przyspieszyła ferment, który doprowadził do upadku dyktatury. Była katalizatorem manifestacji, ponieważ przełamywała strach.

Powiedzieć, że papież wspierał dyktatorów, wydaje mi się grubym nadużyciem, jest niesprawiedliwe i nieprawdziwe. Można postawić zarzut, że papież będąc w pewnych sprawach absolutystą moralnym, w sprawach polityki był relatywistą. Tylko że to jest zarzut, który można stawiać moralistom, ale nie politykom. Papież był jednym i drugim.

Piątek: Powiedziałeś ważną rzecz: że był politykiem i moralistą, i że te role są nie do pogodzenia.

Domosławski: Nie, to są różne role. On występował w jednej i w drugiej, a one są trudne do pogodzenia. Dla mnie te niuanse się liczą.

Piątek: Ale to pokazuje zaburzenie, jakie wynika z samej funkcji papieża, błąd wewnętrzny tkwiący w istocie papiestwa, taki właśnie, że ktoś ma być autorytetem moralnym i równocześnie władcą.

Kurkiewicz: Tak rozumując, można byłoby papieżowi zarzucić, że kiedy przyjeżdżał do Polski w latach 80., stawał obok generała Jaruzelskiego, ale równocześnie spotykał się z Lechem Wałęsą. Każdy z nich miał swoją grę. I każdy interpretował gesty papieża na swoją korzyść.

Bartoś: Wałęsa chciał legitymizacji, Jaruzelski chciał legitymizacji. A wiadomo, że jak się nawiąże osobisty kontakt z dyktatorem, to dyktator złagodnieje.

Kurkiewicz: To się działo, ewidentnie.

Luft: I to wydaje mi się akurat godne pochwały.

Papież feminista?

Kurkiewicz: Badaczka gender Katarzyna Nadana-Sokołowska opowiada Szumlewiczowi o nowym feminizmie propagowanym przez papieża, który okazuje się reprodukcją stereotypów na temat kobiet. Porozmawiamy o tym z perspektywy Polek. Wpływ polityczny Jana Pawła II na polski establishment polityczny sprawił, że mamy takie, a nie inne ustawodawstwo dotyczące praw reprodukcyjnych.

Wawrzyńska-Furman: Ja feminizm katolicki widzę z perspektywy kobiety, która zrobiła doktorat z teologii katolickiej. Dlaczego teraz się przekwalifikowałam, wykładam pedagogikę? Bo bardzo kocham teologię, to coś wspańskiego, ale kobieta teolog w Kościele katolickim to jest pomyłka. Księża na zajęciach mówili nam wprost: jesteście po to, żebyście rodziły dzieci.

Bartoś: Ale czy to jest ślad Jana Pawła II?

Piątek: Jan Paweł II odszedł od ustaleń Soboru Watykańskiego i zlikwidował jakiekolwiek możliwości kapłaństwa kobiet w Kościele katolickim. To jest właśnie jego ślad w sprawie kobiet.

REKLAMA

ODBUDUJMY SYRENĘ SPORT

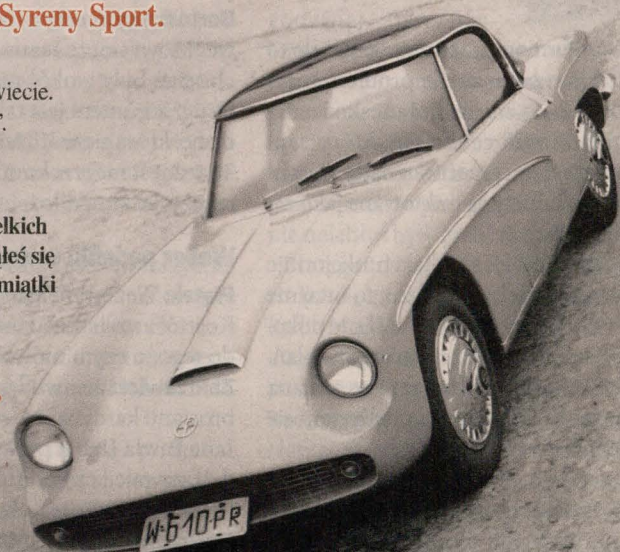
Stock Polska, dawny Polmos Lublin, producent m. in. żółdkowej gorzkiej rozpoczyna prace nad rekonstrukcją Syreny Sport.

Poznajesz ten samochód? To Syrena Sport. Zaprojektowana w Polsce w roku 1960. Podziwiana na całym świecie. Okrzyknięta „najpiękniejszym autem z żelaznej kurtyny”. Nigdy nie weszła do produkcji, a jedyny prototyp zniszczono w niejasnych okolicznościach.

Rozpoczynamy budowę repliki Syreny Sport i poszukujemy wszelkich informacji, które pomogą ją odtworzyć. Jeśli kiedykolwiek zetknąłeś się z Syreną Sport na żywo lub posiadasz dokumenty, zdjęcia czy pamiątki z nią związane, napisz do nas!

Skupujemy stare zdjęcia, wycinki prasowe, dokumenty, plany oraz wszelkie inne pamiątki. Czekamy także na Twoje wspomnienia.

Wszelkie pamiątki oraz informacje prosimy kierować na adres: powrotlegendy@zoladkowagorzka.com lub pocztą na: Stock Polska, ul. Nullo 2, 00-486 Warszawa z dopiskiem „Powrót Legendy” Skontaktujemy się wyłącznie z wybranymi zgłoszeniami.





Bartoś: Wiele gestów czyniono w tym kierunku, żeby znaleźć w Kościele miejsce dla kobiet, na przykład w kurii biskupiej czy kurii watykańskiej. Ale to jest w ogóle nie do pomyslenia, bo środowisko duchownych jest męskie.

Wawrzyńska-Furman: Kobieta w Kościele to nie tyle problem papieża, ile problem mężczyzn, którzy boją się swojej męskości. Są przerażeni własnym celibatem, który sam w sobie jest grzechem przeciwko naturze człowieka. Dlatego kobiety są traktowane jako zagrożenie dla księży.

Bartoś: Dopóki Kościół katolicki funkcjonuje jako kasta bezzennych mężczyzn, to tutaj nie ma miejsca dla kobiet. Jan Paweł II nie dokonał w tej sprawie zasadniczej zmiany. Kapłaństwo kobiet musiałoby się wiązać ze zmianą całej struktury Kościoła, czyli pozbyciem się męskiego centralizmu.

Piątek: Zgadzam się w stu procentach. W moim Kościele, ewangelicko-reformowanym, nie ma żadnych teologicznych przeszkód, żeby kobiety były pastorami. Przecież na podstawie świadectw kobiet napisana jest Ewangelia Łukasza.

Domosławski: Czy istnieją jakieś teologiczne przeszkody, które uniemożliwiają kapłaństwo kobiet w Kościele katolickim?

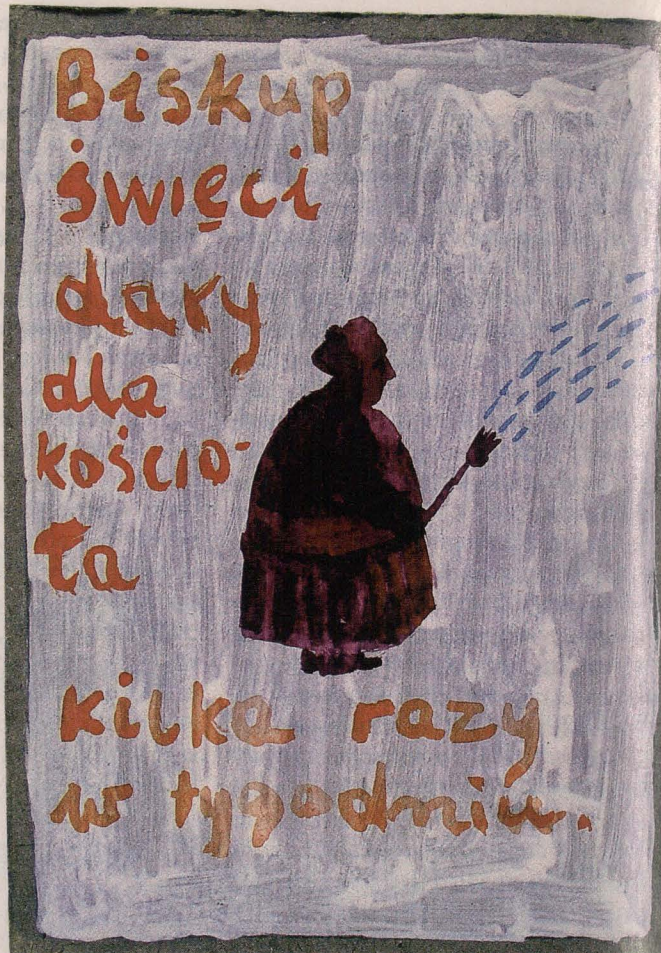
Wawrzyńska-Furman: Ściśle teologicznych przeszkód nie ma.

Bartoś: Argumenty przeciw są czysto kulturowe. Mówi się, że Jezus założył grupę męską, chociaż były wokół niego również kobiety. Drugi argument jest taki, że mamy długą tradycję, którą się w Kościele zawsze uznawało. To też jest nieprzekonujące, bo wiele innych rzeczy się zmieniło, choćby liturgia łacińska.

Wobec pedofilii w Kościele

Piątek: Weźmy oficjalną wersję tego, czym był Kościół katolicki za Jana Pawła II, i przyłóżmy do tego, o czym mówi w książce Agnieszka. **Zakrzewicz:** że uwikłany w aferę Banco Ambrosiano kardynał Marcinkus za pontyfikatu Jana Pawła II, był podejrzanym, że uprowadził, zgwałcił i zamordował dziewczynę. I jak tu się dziwić, że jesteśmy krytyczni.

Bartoś: W książce „Śluby milczenia” dwóch dziennikarzy śledczych skrupulatnie analizuje tę kwestię. Nie znaleźli potwierdzenia, że papież o tamtej sprawie wiedział. Ale o sprawie



oskarżanego o przestępstwa seksualne wiedeńskiego arcybiskupa Groëra Jan Paweł II powiedział, że w Kościele są takie komnaty, do których się dopuszcza wszystkich, a są takie, do których się nie dopuszcza. Pośrednio taką metaforą sankcjonował ukrywanie przestępstw, załatwianie tych spraw we własnym gronie.

Luft: To naprawdę duży problem, z którym Kościół próbuje sobie radzić. W ostatnich dniach Benedykt podejmował ten temat. Kościoły lokalne też starają się to robić, niestety nie wszystkie.

Kurkiewicz: Kościół katolicki w Polsce będzie istniał jeszcze długo. Nawet jak się okaże, że tylko 30 proc. ludzi zgadza się go utrzymywać z własnych podatków, to ciągle będzie 30 proc. Polaków i Polek. Czy ta książka daje przestrzeń do zmiany? Mam nadzieję, że rusza kamień, który był dotąd nie do ruszenia.



„Ojciec nieświęty. Krytyczne głosy i Janie Pawle II. Rozmowy Piotra Szumlewicza”

Gawarit Radio Maryja!

Hitler, kiedy doszedł do władzy, potwierdził konkordatowy wpis o podatku kościelnym. Uważa się, że w ten sposób kupił sobie poparcie Kościoła niemiecko-austriackiego i Watykanu. Podatek kościelny funkcjonuje do dzisiaj w Niemczech. W Austrii też, ale nam, tu mieszkającym Polakom, Adolf może skoczyć! Bo ja popieram Polski Janosikowy Kościół Emigracyjny w Krajach Niemieckojęzycznych (w skrócie PJKE w KN).

Jeśli zbadać sprawę głębiej, to ten faszystowski podatek posłużył również do namierzania Żydów i ich eliminacji. Nie dziwię się więc, że moi rodacy mieszkający w Austrii deklarują w urzędzie meldunkowym i podatkowym bezwyznaniowość, a jednocześnie w niedzielę drepczą na mszę do polskiego kościoła przy Rennweg. Kościół ten, utrzymywany ze składek wiernych, nie dostaje żadnych dotacji od metropolii wiedeńskiej. Ze względu na niepłacenie podatku kościelnego oczywiście. Czyli mamy tutaj następującą sytuację: podatek jest, ale go nie ma, pod warunkiem że zna się polski. Język polski ma siedem przypadków, niemiecki zaś tylko cztery. Dla przeciętnego austriackiego katolika polszczyzna to czarna magia. Kumam przeciętnego austriackiego katolika. On woli zapłacić podatek, żeby zrozumieć, o czym gadają u niego namuszy. Takim to sposobem Kościół polski pozostaje miejscem etnicznie czystym.

Benedykt XVI rozumiał, że II Sobór Watykański był wielką wtopą. I dlatego teraz z cichą zachęca do mszy odprawianej tyłem do publiki i po łacinie. Benedykt jest Niemcem, sprawę podatku wyssał z mlekiem matki i gdyby się z łaciną na powrót udało, to i Polak, i Austriak modlili się w tym samym języku. Nie byłoby więc PJKE w KN i innych twórców mu podobnych w łonie KK ogólnego. Polak nie miałby wyboru, musiałby bulić za kult regularnie i więcej.

Co się tyczy kultu w polskim Kościele, to ten ma miejsce. Kościół jest zapakowany na maksimum, szczególnie podczas mszy dla dzieci. Jak sama nazwa wskazuje, msza dla dzieci jest najbardziej popularną mszą dla dorosłych. Dzieci, podczas mszy dla dzieci, są w wyraźnej mniejszości. Dlaczego się tak dzieje? Nie wiem. To raczej sprawa dla psychoanalityka, choć podejrzewam, że chodzi tu o mylną interpretację fragmentu Pisma Świętego mówiącego, że



HUBERT KLIMKO-DOBZANIECKI

Autor felietonu
jest pisarzem

każdy dzieckiem bożym jest... Słyszałem, że podczas takiej mszy dla dzieci dochodzi do odsprzedawania SMS-ów z ofertami pracy już dawno wziętymi. Stawka dla jelenia to 20 euro.

Obok kościoła są też polskie sklepy, w których można kupić wszystko, co nam, Polakom, miłe: browar, wódę, kiełbasy, słodycze, pierogi i prasę, w tym „Przekrój” i olejany przez polski katolicki główny nurt, żydowsko-komunistyczno-boniecko-szatański „Tygodnik Powszechny”. Więc żeby zdobyć te gazetki z piekła rodem, muszę pojechać do polskiego sektora Wiednia.

Ostatnio wychodząc ze sklepu, zostałem zaczepiony przez pewnego pana, który na mohera nie wyglądał, bo miał na głowie czapkę z nutrii, co wpisywało się raczej w poetykę przedrydzkowską. Pan nagabywał mnie do złożenia podpisu pod protestem odnośnie decyzji Krajowej Rady Radiofonii dotyczącej nieprzyznania miejsca Telewizji Trwam na multipleksie. Myślałem, że pójdzie lekko. Nie poszło. Mam słabość do nutrii.

Nawet wiem, skąd ta słabość. To wszystko przez wujka Ziutka. Miał kiedyś całkowicie oswojoną nutrię Maciusia, która nie tylko aporowała, ale i oddała życie za inne nutrie, mężnie wystawiając pierś na ostrze widel nutriofo- ba ze wsi Korabniki.

Nutria nalegał, żebym się podpisał, bo ponoć o wolność i prawdę w tym wszystkim chodzi. Ze jak nie będzie Trwam na multipleksie, to niczego nie będzie, że nas, Polaków, nie będzie, i że jeśli nie jest mi obojętny przyszły los mego plemienia, to radzi mi się podpisać. Powiedziałem Nutrii, że nie mogę,

bo nie lubię telewizji jako takiej. Uważam telewizję za najskuteczniejszego zabójcę czasu oraz empatii. Telewizji nie oglądam, jeśli już, to słucham radia. Nutrii zabłysły oczy oraz obnażone siekacze. – A czy pan wie, że ta ustawa godzi w Radio Maryja? To ustawa dwupak, i przeciwko Trwam, i radiostacji. No i wpakowałem się na minę.

O ile los TV Trwam jest mi całkowicie obojętny, to Radia Maryja już nie! Śpieszę z wyjaśnieniami. Kilka lat temu wracałem samochodem ze Szczecina do Wiednia, jakieś 900 km. Owszem, zatrzymywałem się kilkakrotnie. Owszem, dawałem dzieciom się wybiegać. Owszem, nie dawałem im słodyczy na podniesienie poziomu cukru by, rozwalają samochód. One robiły to bez czekoladek, więc ta droga powrotna była drogą przez mękę. Kiedy opowiedziałem całą sytuację koledze, on zimno i beznamietnie powiedział mi: – Na drugi raz włącz im Radio Maryja.

Gdy jechałem znowu tą trasą i dzieci urywały sobie głowy, koło Svitav w Czechach udało mi się złapać z lekka zagłuszaną Maryję. Radio nadawało w moim samochodzie tylko przez godzinę, to wystarczyło, żeby dzieci zamurowały na siedem godzin jazdy, które nam pozostały. W drodze powrotnej znowu zaczęły, więc powiedziałem tylko: „Cicho, bo jak nie, to wam włączę Radio Maryja”. Dzieci podświadomie ponoć wyczuwają złe moce. Momentalnie ucichły i były grzeczne aż do końca trasy.

Dlatego jestem nie tylko przeciw podatkowi kościelnemu, ale i przeciwko zamykaniu Radia Maryja. Więcej, jestem za petycją do rządów Czech i Austrii, żeby rozszerzyć pasmo nadawcze na wymienione kraje. Uważam, że Radio Maryja powinno być, nadawać w kółko i kipieć jeszcze większym złem. Tylko ono potrafi tak skutecznie zastraszyć dzieci, a tym samym uczynić długie podróże z maluchami mniej uciążliwymi dla rodziców. Nutria jednak po moim wywodzie na temat dobrodziejstw pedagogicznych rozgłośni zbladł, schował listę do teczki i nie dał mi się podpisać.



Blizna po kapłaństwie



Kościół myśli o swoich członkach jako o czymś, co jest jego własnością i ma się słuchać. To jedna z przyczyn arogancji duchownych

TADEUSZ BARTOŚ

W teologii katolickiej od czasów starożytności przyjęło się, że chrzest, bierzmowanie, a także kapłaństwo odciskają na duszy człowieka niezatarte znamie. Jak blizna, tatuaż czy inny trwały ślad fizyczny albo psychiczny. Nic nie pomoże wystąpienie z Kościoła, nawet starannie przeprowadzone zgodnie z procedurami prawa kanonicznego wykreślenie z ewidencji parafialnej. Wedle wyobrażeń chrześcijańskich znamie pozostaje.

W każdej chwili, zwłaszcza na łożu śmierci, apostata może powrócić na łono Kościoła, przyjmując sakrament, wyrazić skruchę i ocalić

duszę. Cały czas jest jakby „uśpionym” członkiem Kościoła. Sakramentalne naznaczenie, niczym stempel firmowy, sprawia, że instytucja Kościoła nabywa wobec jednostki swoiste prawo własności. Na zawsze. W tym i w przyszłym życiu. Tymczasem wrażliwość, jaką Europejczycy wyrobili sobie w ciągu ostatnich kilkuset lat, kulminująca w doktrynie praw człowieka, za pierwszy dogmat uznaje zasadę, że człowiek jest własnością siebie, a nie społeczności. Dawne formy organizacji – jak niewolnictwo, feudalizm, szerzej system patriarchalny – uznali za nieuzasadnione panowanie jednych nad innymi.

Filozofowie, jak Michael Foucault czy Giorgio Agamben, tropią w nowożytnych

instytucjach społecznych rozmaite „własnościowe” zależności. Stworzony przez Foucaulta termin „biopolityka” wskazuje, że instytucje władzy dążą do regulacji także biologicznego życia społeczności, redukując je do użyteczności politycznej i ekonomicznej, bo to sprzyja sterowalności.

Idea nieusuwalnego „charakteru sakramentalnego” prowadzi do instytucjonalnego wywiedzenia na zewnątrz prawa własności do siebie samego. W tym sensie jest przykładem przemocy symbolicznej. Stoi to w jasnej sprzeczności z ważnym w naszych czasach pojmowaniem wolności jako pożądanego wysiłku odkrywania i opisywania własnej egzystencji w nowych kategoriach,

wyprowadzającego człowieka poza z góry znaną, od początku do końca zdefiniowaną metafizyczną całość (Richard Rorty).

Dziś lepiej dostrzegamy, że instytucja kościelna myśli o swoich członkach jako o własności, o czymś, co jej się należy, co ma być posłuszne, a jak się nie słucha – przekracza granice stosowności. To jedna z przyczyn widocznej niekiedy arogancji hierarchii. Pobrzmiewa ona w listach i deklaracjach biskupich.

Ostatnie zwanie w sprawie in vitro jest dobrym przykładem. Jakby hierarchowie nie potrafili funkcjonować w innej pozycji społecznej aniżeli pełnoprawnych właścicieli swoich wiernych. Choć jest tyle możliwości! Tę samą ideę można wypowiadać w formie dyskretniej, życzliwej sugestii, bez wywierania presji; może to być rodzaj doradztwa, otwartego na argumentację strony przeciwnej, podzielenia się osobistym doświadczeniem, refleksją nad tradycją, którą się reprezentuje. Nie musi być straszeniem, ogólnym pouczeniem, insynuacją, traktowaniem najwyższych władz państwowych jak niesfornych dzieci, używaniem modlitwy jako broni do chłostania nie-subordynowanych posłów.

Złe prawo to bezprawie

Skoro instytucje kościelne uzurpują sobie prawo do własności nad życiem ochrzczonych, nie powinno dziwić, że odchodzących z Kościoła czy opuszczających kapłaństwo uznaje się za zdrajców. Szczęśliwie Kościół nie dysponuje dziś możliwością siłowego egzekwowania tego osobliwego prawa własności, nie ma już więzień biskupich, kościelnych armii zdobywczych zwanych eufemistycznie zakonami rycerskimi, inkwizycji, papieskich wojsk.

A jednak także prawo pozbawione sankcji karnej (lex imperfecta) może naruszać prawa człowieka. Złe prawo – pisał Tomasz z Akwinu – nie jest prawem, lecz bezprawiem (mala lex non est lex sed corruptio legis). Deklarowane przez Kościół uznanie niezbywalnych ludzkich praw, co robił choćby Jan Paweł II, może okazać się pustą formułą, zabiegiem retorycznym, pełniącym funkcję maskującą. W istocie bowiem samo prawo kościelne, którego autorem jest papież jako najwyższy prawodawca w Kościele, jest w sprzeczności z prawami człowieka, a także z polską konstytucją stojącą na straży tych praw i wolności.

Państwo polskie na podstawie umowy konkordatowej akceptuje prawo kanoniczne jako wewnętrzne prawo Kościoła katolickiego w Polsce. Jedynie niska w ostatnich czasach, jak stwierdzają eksperci, jakość orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego (wynikająca

z dosyć przypadkowego, bo politycznego doboru jego członków) skłania do powstrzymania się przed złożeniem skargi w tej sprawie.

Bez symbolicznej przemocy

Potrzeba katolikom poważniejszej krytycznej refleksji nad własnym dogmatycznym dziedzictwem. Powstawało ono w czasach, kiedy chrześcijaństwo i całe jego „instrumentarium” religijne były tak formowane, by służyć nie tylko „zbawieniu dusz”, lecz także ich administrowaniu w duchu religii cesarskiej (a później średniowiecznej odbudowy cywilizacji po upadku cesarstwa) oraz kontroli i dyscypliny poprzez systematyczne utrzymywanie odpowiednio porcjowanej dozy religijnej grozy. Było więc także biopolityką.

Zgodnie z tradycją teologiczną mamy w sakramentach kościelnych element ludzki i – jak wierzą katolicy – element boski. Pierwszy jest historyczny i przez to zmienny. Jako taki nie może być absolutyzowany. W każdym pokoleniu chrześcijan potrzeba wysiłku, by na nowo to, co jest boskim przesłaniem, odkrywać i ujawniać, także w tym, co jest sakramentalnym, a więc ludzkim i materialnym – znakiem.

Wedle najlepszej tradycji katolickiej element ludzki ulega ewolucji. Pisał o tym wybitny teolog Yves Congar, analizując, jak w różnych epokach struktura organizacyjna Kościoła była emanacją struktury danego społeczeństwa. To samo można powiedzieć o formie i rozumieniu sakramentalnego rytuału.

Chrześcijański Zachód przez wieki zdolny był do reform, nie absolutyzował historycznej formy. Dziś pilnie potrzeba zmiany rozumienia trwałości znaków sakramentalnych, by na zawsze straciły one sens piętna właściciela wypalającego na duszy swe niezatarte znamie. Zadanie wydaje się niemożliwe, a przecież konieczne. Trzeba bowiem od sakramentów odsunąć wszelkie, choćby najmniejsze skojarzenie z symboliczną przemocą.

Retoryka posłuszeństwa

Wymaga to także odejścia od religijnej retoryki posłuszeństwa-nieposłuszeństwa jako głównego kryterium oceny postawy religijnej wiernego; jako ideału duchowości, zgodnie z którym Chrystus jest wzorem, bo do końca, czyli do śmierci krzyżowej, był posłuszny Ojcu. Nie ma powodu, by te historyczne sposoby rozumienia chrześcijaństwa unieśmiertelniać. Prowadzi to jedynie do tworzenia karykatur, kiedy to przychodzą nowe pokolenia i zmieniają się kulturowy kontekst, gust, styl i wrażliwość, a także formacja intelektualna.

Dotyczy to nie tylko fundamentalnych idei teologicznych, lecz także zewnętrznego poczucia estetycznego. Renesans nie cierpiał scholastycznych analiz, wiek XX wśród duchownych nie znosił wygłania tonsur, chadzania w długich sutannach, nadmiaru magicznych czynności do wykonania, modlitw na każdą okazję do wypowiedzenia itp. Podobnie rzecz ma się z liturgią w niezrozumiałych językach, niezrozumiałych gestach, spektaklu, sprzecznej z Ewangelią i rozumieniem Boga sakralizacji duchownego, prezbiterium, tabernakulum, gdzie im dalej od miejsca centralnego, tym ciemniej, a najciemniej w kruchcie. Zakochane w tym świecie nieliczne grupki tradycjonalistów, także w Polsce, są wyjątkiem potwierdzającym regułę w myśl zasady, że każde ekstremum znajdzie swego amatora, zwłaszcza że najczęściej rzecz dotyczy nie tych, którzy w tonsurach mają chodzić, lecz tych, którzy na wygolonych czy uprawiających osobliwe spektakle mają patrzeć.

Przez swój konserwatyzm Kościół katolicki stał się hamulcem, a nie pionierem cywilizacyjnego rozwoju, jak to niegdyś bywało. Zatracił żywotne siły, kurczowo trzymając się starych form, w lęku przed zmieniającym się światem. Zaczął absolutyzować to, co minęło bezpowrotnie, wbrew swojej najlepszej reformatorskiej, kulturotwórczej tradycji, która zaowocowała złotym okresem średniowiecznej cywilizacji, a później także, po klęsce czarnej śmierci XIV stulecia, niezwykłym blaskiem XV i XVI-wiecznego renesansu.

Tymczasem nie ma bardziej przerażającej przemocy aniżeli absolutyzowanie tego, co skończone, czasowe, historyczne, skrojone li tylko na ludzką miarę. Egzekutorzy tych fanatycznych rytuałów, jeśli by tylko znaleźli dość siły i władzy, zawsze gotowi są pokazać, co znaczy dysponować tu i teraz bezpośrednim wglądem, rzekłbym wziernikiem, w świat prawdy absolutnej.

Tadeusz Bartoś jest filozofem, profesorem Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztor. Opublikował m.in. „Wolność, równość, katolicyzm”, „Jan Paweł II. Analiza krytyczna”, „W poszukiwaniu mistrzów życia”, „Koniec prawdy absolutnej”. Prowadzi blog „Z punktu widzenia”: www.tadeuszbartos.blog.onet.pl.





Ekskomunikujcie nas natychmiast!

ANDRZEJ FICOWSKI

Chcą wystąpić z Kościoła na własnych warunkach, nie czują się petentami, więc nie odpowiadają im skomplikowane procedury apostazji. Wydawać by się mogło, że i Kościołowi powinno zależeć na autentycznej wierze katolików, a nie na statystykach chrztu

W kameralnej salce wrocławskiego klubu Falanster zebrało się kilkadziesiąt osób. Jeden z uczestników przebiera się w papierowy ornat biskupi. Wyczytuje nazwiska kilkunastu osób, które zdecydowały się zbiorowo wystąpić z Kościoła.

– Dotąd apostazje, o których słyszeliśmy, dokonywały się wyłącznie indywidualnie, a nie zbiorowo. A odczuwaliśmy silną potrzebę wspólnego protestu – tłumaczy Marcin Czerwiński, redaktor naczelny pisma „Rita Baum” i pomysłodawca akcji. – To był niezależny, obywatelski gest, co wydaje mi się w tej akcji bardzo wartościowe. Gdyby instytucja Kościoła zachowywała się wobec obywateli uczciwie, takie gesty nie miałyby racji bytu. Ale katolickie prawodawstwo programowo utrudnia dobrowolne wychodzenie z Kościoła – mówi.

Tylko przy świadkach

Procedura apostazji dla osób, które chcą wystąpić z Kościoła rzymsko-katolickiego i zostać usunięte z wykazu wiernych, powinna być prosta. Ale w Polsce nie jest.

Zgodnie z ustaleniami Konferencji Episkopatu Polski apostazji (którą określa się niekiedy „ekskomuniką na własne życzenie”) może dokonać tylko pełnoletnia osoba i tylko publicznie. Na początku należy znaleźć dwóch świadków (muszą to być osoby, które są pełnoprawnymi członkami Kościoła katolickiego), co zapewnia „publiczność”. Następnie wspólnie należy się udać do parafii w miejscu zamieszkania i złożyć na ręce proboszcza list z oświadczeniem woli wraz z odpisem aktu chrztu. Wskazane jest również podanie nazwisk i adresów zamieszkania świadków. Świadkowie muszą mieć świadomość, że informacje o nich mogą być sprawdzane w parafiach, w których aktualnie zamieszkują. Potem pozostaje oczekiwanie na wiadomość o przyjęciu przez kurie informacji o apostazji.

Procedura nie jest bardzo skomplikowana, ale długotrwała, a – co najbardziej bulwersujące – uznaniowa. Zdarza się bowiem, że proboszczowie nie przyjmują oświadczenia o wyrzeczeniu się wiary. Środowiska wolnomyślicielskie krytykują również fakt, że Kościół nie usuwa informacji o chrzcie z ksiąg parafialnych, a jedynie uzupełnia je adnotacją o apostazji. Próbowaly wpłynąć na Kościół, odwołując się do Głównego Inspektora Ochrony Da-

nych Osobowych, ten jednak uznał, że praktyka kościelna nie łamie przepisów ustawy.

Dlatego w ubiegłym roku, nie stosując się do kościelnych procedur, osoby związane z wrocławskim środowiskiem kulturalnym wyraziły posłuszeństwo Kościołowi podczas zbiorowej apostazji. Nie żądały przy tym wykreślenia swoich danych z parafialnych akt. Wydarzenie miało charakter symbolicznego aktu. – Gdy myśleliśmy nad opcją opuszczenia Kościoła, okazało się, że każdy z nas ma do dyspozycji wyłącznie indywidualną drogę wyznaczoną przez procedury kościelne. Udało nam się zrobić krok dalej, żeby nie podjąć tej gry – wyjaśnia Czerwiński. Podobna inicjatywa miała też miejsce wcześniej w Warszawie, ale wrocławianie po raz pierwszy w kraju szerzej upublicznili to wydarzenie. – Nasza akcja ma na celu pokazanie ludziom, że można z wolnej stopy podejmować tego typu decyzje. Ponieważ nie jesteśmy traktowani podmiotowo przez Kościół, nasza akcja ma również charakter publicznego protestu. To jest bardzo istotne, że jesteśmy polityczni w głębszym sensie, w sposób obywatelski – dodaje Czerwiński.

Robert Prochowicz, redaktor portalu Apostazja.info, przekonuje, że w Polsce przynajmniej od roku toczy się wojna religijna. Wielu ludzi poczuło się dotkniętych tym, jak kler po katastrofie smoleńskiej przekroczył swoje społeczne kompetencje. Kościół, chroniony konkordatem i zawyżoną frekwencją parafialnych owieczek, czuł się bezkarny. – Ważny jest również fakt, aby oficjalnie podawany odsetek katolików w Polsce w końcu zbliżył się do poziomu bliźszego prawdzie – tłumaczy Prochowicz. – Dlatego tak istotne jest sprawne przeprowadzenie apostazji przez Kościół. Ale sama forma odwrócenia się od Kościoła nie jest najważniejsza. Istotniejsze jest to, aby ludzie przestali ukrywać się ze swoimi poglądami – dodaje.

Osuszanie ze święconej wody

Jak podaje portal Wystap.pl, na świecie zbiorowe apostazje przybierają różne formy. W Kanadzie w 2009 r. grupa 26 osób dokonała zbiorowej apostazji na łamach gazety „Le Devoir”. Publikacja listu zatytułowanego „Prosimy nas ekskomunikować” miała nakłonić hierarchię do wydania zaświadczenia o apostazji. Sygnatariusze oświadczyli, że nie chcą dłużej należeć do wspólnoty katolickiej po tym, jak ekskomu-

nikowano matkę dziewięcioletniej Brazylijki za doprowadzenie do aborcji córki, której ciąża była wynikiem gwałtu. Drugim powodem było wystąpienie papieża Benedykta XVI w Afryce przeciwko używaniu prezerwatyw jako środka zabezpieczającego przed zakażeniem HIV.

Czasem apostazja przyjmuje formę happeningu, jak na przykład w Stanach Zjednoczonych w 2010 r., gdy w radosnej atmosferze osuszano wiernych z sakramentu chrztu przy pomocy suszarki do włosów.

Akcja wrocławska także wydaje się być efektem szerszego społecznego procesu otwarcia na artystycznie wyrażaną krytykę Kościoła. Przykładem może być niedawna „Msza” Artura Żmijewskiego z warszawskiego Teatru Dramatycznego – teatralna inscenizacja liturgii katolickiej. – Nie chcieliśmy, aby akcja miała charakter wyłącznie polityczny i oficjalny – podkreśla Czerwiński. – Mimo że manifest porusza bardzo ważne dla nas kwestie, działanie apostazyjne połączyło się z performance’em – nasz kolega przebrał się w szaty biskupie – i dzięki temu doszedł walor żartu. Przy tym wzmocnił działanie, bo także sztuka powinna być sceną nieocenzurowanej wypowiedzi. To, że nasz akt apostazji jest również gestem artystycznym, wcale nie umniejsza jego rangi w naszych oczach, wręcz przeciwnie.

Rodzajem performance’u jest też książka Renaty Niemierowskiej, prezeski Stowarzyszenia Trenerów i Praktyków Relaksacji Przestrzeń, napisana w czasie, gdy pod Pałacem Prezydenckim toczyła się wojna o krzyż. „13 kazań do biskupów polskich” można czytać jak antologię grzechów polskiego Kościoła. Autorka w kolejnych kazaniach pisze o złe pojmowanej tradycji, krytykuje proklamację Matki Boskiej na hetmankę Wojska Polskiego, zastanawia się, od czego zacząć usuwanie antysemityzmu z Kościoła, oraz bezpardonowo rozprawia się z politycznym wymiarem polskiego katolicyzmu. Mimo że wszystkie listy zaczynają się od skierowanej do biskupów laickiej formuły grzecznościowej: „Wielce Szanowni Panowie”, Niemierowska przekonuje, że jej intencją nie jest drwina z „kościelnych urzędników”, tylko ukazanie wypaczeń nauki Jezusa. Proponuje czytelnikom inny sposób mówienia o polskiej religijności, gdyż – jak sama podkreśla – Kościół katolicki w Polsce nie może mieć monopolu na przeżycia duchowe obywateli:

– Chciałam wyrazić sprzeciw wobec jednego rozumienia duchowości. Zabrakło mi alternatywy i miałam wrażenie, że biorę udział w jakimś chocholim tańcu, w którym nie chcę uczestniczyć – mówi autorka.

Na własną na własnych zasadach

W klubie Falanster podczas zbiorowej apostazji latem 2011 r. zjawily się osoby z różnych środowisk i o różnych poglądach.

Paweł Piotrowicz, 35-letni animator kultury z Wrocławia, potraktował to publiczne wystąpienie jako akt obywatelskiej niezgody na status quo. – Ten akt traktuję tak samo jak apel przeciwko wycinaniu Rospudy czy lasów amerykańskiej dżungli. Dlaczego ciągle musimy się określać wobec takiego Kościoła? – pyta. – Ale najważniejsze jest nie podpisanie się na jakiejś liście, ale praktykowanie w życiu codziennym wartości, które są społecznie ważne. Na przykład nie bać się zareagować, gdy ktoś kłamie i agituje wiernych – mówi. Być może dlatego Piotrowicz nie podejmował i nie zamierza w jakiegokolwiek innej formie podejmować aktu apostazji.

Piotr Nyczka, 32-letni doktorant fizyki z Uniwersytetu Wrocławskiego, o akcji dowiedział się pocztą pantoflową. – Zawsze przerażał mnie fakt, że Kościół zamyka ludzi w swojej procedurze. Dlatego zainteresowała mnie taka forma apostazji – opowiada. – Dodatkowo ucieszyło mnie to, że naraz tylu osobom zechciało się chcieć – opowiada młody naukowiec. Nyczka zamierza dokonać aktu apostazji jeszcze raz, ale znów na własnych zasadach. Nie chce być petentem proszącym kler o łaskę. Oficjalnie wystąpić z Kościoła zamierza w kwietniu tego roku, kiedy w wielu miastach pod kościołami odbędą się demonstracje organizowane przez Stowarzyszenie Ateistyczne.

W trakcie akcji zbiorowych wystąpień zostaną przekazane i podpisane własnoręcznie listy apostatów, następnie akty apostazji zostaną wręczone lokalnym władzom kościelnym z żądaniem dokonania stosownych adnotacji w księgach parafialnych oraz usunięcia danych osobowych z rejestrów kościelnych.



Religia? Bez emocji

Jak zauważył na łamach „Gazety Wyborczej” Krzysztof Varga, zagrożeniem dla Kościoła katolickiego nie jest krzykliwy antyklerykalizm spod znaku Nergala czy Palikota, ale racjonalny, wyważony ateizm. Trudno się nie zgodzić, że tylko racjonalna krytyka religii ma sens. Problem jednak w tym, że w Polsce nie będzie ona możliwa dopóty, dopóki prawo będzie chroniło uczucia religijne.

Pojęcie uczuć religijnych wydaje się problematyczne choćby dlatego, że Kodeks karny nie chroni żadnych innych uczuć. Czy uczucia, które żyjemy do dzieł sztuki albo do idei politycznych, nie są godne ochrony? Czy miłość do drugiego człowieka lub do zwierzęcia mniej jest warta niż uczucie do książki, nawet jeśli część społeczeństwa uznaje tę księgę za wyjątkową?

Czemu wreszcie ochronie nie podlegają uczucia związane z wartościami intelektualnymi, na przykład miłość do mądrości, która w Grecji stała się przedmiotem uwielbienia na długo przed pojawieniem się opowieści o przemianie wody w wino? Wyróżnienie uczuć religijnych wydaje się niesprawiedliwe i w praktyce wiąże się z dyskryminacją innych światopoglądów niż światopogląd katolicki.

Jak wybrnąć z tej sytuacji? Pewnym rozwiązaniem byłaby taka modyfikacja ustawy, która rozszerzałaby pojęcie uczuć religijnych na uczucia w ogóle. W trosce o zdrowie psychiczne obywateli państwo mogłoby zacząć chronić nie tylko uczucia wobec Biblii, ale także uczucia wobec filozoficznego dzieła Richarda Dawkinsa „Bóg urojony” czy wobec bajki Marii Konopnickiej „O krasnoludkach i sierotce Marysi”. Ktokolwiek ośmieliłby się



MARCIN ORLIŃSKI

Autor felietonu
jest poetą i krytykiem literackim

znieważyć tezę Darwina o pochodzeniu gatunków lub zakpić z Koszałka-Opalka, musiałby się liczyć z konsekwencjami prawnymi. Czy takie rozwiązanie miałoby jednak sens?

Uczucie wydaje się zjawiskiem trudnym do zmierzenia. To, co obraża jedną osobę, drugiej wcale obrażać nie musi. Prawna ochrona czegoś tak subiektywnego i niemierzalnego jak stany psychiczne zakrawa więc na absurd. Jestem pewien, że polskie sądy szybko zalałyby falą wniosków przeciwko osobom innej narodowości, innego wyznania, innego koloru skóry czy innej orientacji seksualnej. Nie mówiąc o pozwach, jakie czytelnicy „Uważam Rze” złożyliby przeciw czytelnikom „Przekroju” i miłośnicy Coca-Coli przeciw miłośnikom Pepsi i vice versa.

Tradycja karania za świętokradztwo czy bezbożność jest długa. Problem jednak w tym, że nie żyjemy w czasach starożytnych ani w średniowieczu, ale w cywilizowanym, demokratycznym świecie, który za swoje największe zdobycze uznaje między innymi indywidualizm i wolność słowa. Bo właśnie ta ostatnia wartość zdaje się stać w konflikcie z poglądami przewrażliwionych katolików. Przewrażliwionych? Owszem. Jak inaczej nazwać bowiem osobę, która w 2001 r. złożyła w warszawskiej prokuraturze zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa w związku z ekspozycją plakatu reklamowego przedsta-

wiającego Świętego Mikołaja i roznegliżowaną dziewczynę? Jak inaczej określić działaczy Ligi Polskich Rodzin, którzy obraży uczuć religijnych dopatrywali się w parze gejów na okładce czasopisma „Machina”, nawet (a może właśnie dlatego?) jeśli jeden z nich miał na szyi krzyżyk?

Warto zauważyć, że środowiska katolickie oburzają się nie wtedy lub nie tylko wtedy, kiedy faktycznie zostaje znieważony przedmiot czci lub miejsce przeznaczone do publicznego wykonywania obrzędów, co – wydaje się – było celem ustawodawcy. Instrumentalizacja prawa przychodzi tym łatwiej, im bardziej jego przedmiot jest ulotny. Doprawdy stan polskiej religijności musi być w opłakanym stanie, jeśli wiernych obraża nawet obecność nieszkodliwego i sympatycznego performerera w stroju motyla na procesji. Czyż bowiem o wiele większą obrażają uczuć religijnych nie jest nawoływanie do nienawiści na antenie Radia Maryja albo bułwersująca działalność komisji majątkowej? Czyż większej zniewagi dla nauk Chrystusa nie stanowi umieszczenie fragmentu samolotu z katastrofy smoleńskiej w sukni Matki Bożej na Jasnej Górze?

Problem bowiem nie w uczuciach, ale w poglądach, które stoją na bakier z dominującą ideologią. Pojęcie uczuć religijnych to tak naprawdę sposób, by zamknąć usta innowiercom. Szanuję ludzi, którzy wierzą w zmartwychwstanie ciała i do końca świata będą bronić ich prawa do tej wiary. Jednakże sam powinienem mieć możliwość nieskrępowanej krytyki takich poglądów. Powinienem mieć prawo uważać praktyki religijne za irracjonalne, a symbole religijne traktować na równi z innymi wytworami kultury. Jak pokazuje bowiem historia nowożytnej Europy, tylko artystyczny i intelektualny dialog pozwala uzyskać dystans do danej idei i zweryfikować jej wartość dla jednostki lub społeczeństwa. Tego dystansu jeszcze nam brakuje.

Kawaleria, rycerze, konie i krzyżowcy



ANNA GRODZKA

Autorka felietonu
jest posłanką Ruchu Palikota

Ubiegłej jesieni uczestniczyłam w kampanii wyborczej w Krakowie. Po kolejnym trudnym dniu miałam zamiar wracać do domu – kilka godzin podróży autem – nie mieszkam w Krakowie. Ale spotkanie w Teatrze Nowym zakończyło się znacznie później, niż się spodziewałam. Padałam ze zmęczenia na nos. Postanowiłam przebrać się w Krakowie. W necie trafiłam na ogłoszenie, które zachęcało do noclegu w pensjonacie nad Rudawą, na obrzeżach miasta. Na zdjęciu przytulny pokój i zachęcająca mnie – społeczną działaczkę – cena. Dzwoniąc, kogoś w pensjonacie obudziłam. Kiedy po pół godziny stanęłam przed drzwiami budynku, serdecznie uśmiechnięta kobieta zapraszała mnie do wnętrza. Dostrzegłam w twarzy sympatycznej właścicielki pensjonatu, że została rozpoznana. Moja twarz pojawiła się już od pewnego czasu w krakowskich mediach i na plakatach wyborczych. Kiedy podeszłam do lady małej recepcji, zobaczyłam duży krzyż i portret papieża. Cholera – pomyślałam. Ruch Palikota był już wyraźnie postrzegany powszechnie jako antyklerykalny. Ja sama, kilka dni wcześniej, zorganizowałam pikietę przed budynkiem krakowskiej kurii bezpośrednio pod tzw. oknem papieskim. – O której życzy sobie pani śniadanie? – pytanie właścicielki wyrwało mnie z nieco onieśmielonego zamyślenia.

„No nieźle! Jak nic naplują mi tu do kawy” – przemknęło mi przez głowę. Ale szybko uspokoiłam się. „No co ty!” – przebiegło mi przez głowę. Przecież znam dziesiątki katolików, rozumnych ludzi. Pocieszałam się też nadzieją na biznesowy profesjonalizm właścicielki. Ojej! Co to za głupie lęki? Bredzę. Śniadaniowa kawa była świetna, a jedzonko z domowymi wyrobami wspaniałe.

Potem już stałam wracałam do tego pensjonatu, kiedy miałam nocować w Krakowie. Pani Grażyna okazała się tak sympatyczna jak pierwsze wrażenie, jakie we mnie wywołała, kiedy otworzyła mi po raz pierwszy drzwi.

Jej mąż Wowa – aktor i kawalerzysta – pokazywał nam potem zdjęcia ze swej podróży, jaką odbył kiedyś, w latach 80., na koniu, w mundurze kawalerzysty, na groby polskich żołnierzy poległych w ataku na Monte Cassino. Kiedy otwierałam swoje biuro poselskie, oboje byli moimi gośćmi. Pan Wowa przyszedł w mundurze majora kawalerzysty – z różą w ręku.

Przeglądałam w Internecie nadesłany mi przez znajomych artykuł. Czytam: „Nienormalność każą nazywać normalnością. Jak powiemy o nienormalności, że to nienormalność, to nas do sądu ciągną! (...) Mężczyzna, który w wieku 56 lat zaczął robić się kobietą. Przecież to jest straszne! Wchodzi do Sejmu mężczyzna, który stał się kobietą, transwestytą. Ja nie jestem przeciwko człowiekowi, ale widzimy, jakie wartości on niesie. Wchodzi ludzie, jak ktoś nazwał, sodomici. Ludzie, to już jest bardzo poważna sprawa!” – przytacza słowa Rydzyka Gazeta.pl.

Nie wierzę w Boga. Słowami Jeremiego Przybory mogłabym powiedzieć nawet „jestem głęboko niewierząca”, ale nadal sobie myślę, że religia katolicka nie przetrwałaby dwóch tysięcy lat, gdyby nie była emanacją wiary człowieka w miłość. Religia nie może przecież żywić się nienawiścią! Co się stało, że serca niektórych żołnierzy Pana Boga gorzej nienawidzą? Skąd zajadłość Rydzyka, Terlikow-

skiego i jego Frondy, Cejrowskiego czy nawet profesora Pawła Bortkiewicza z Wydziału Teologicznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu? Dlaczego ludzie ci zakuli głowy w pancerze, złapali topór bądź lancę – i tną? Rozpędzili się na koniu i biją na oślep. Tak, jakby nie mieli w sobie wiedzy o człowieku, krztyny humanistycznej filozofii i cywilizacji, szacunku do tożsamości drugiego człowieka czy jego odmienności. Jak oszołomieni krzyżowcy, bez miłości i bez – tak sądzę, bo nie mogę myśleć inaczej – wiary w Boga. Co bardziej ich rozwściecza? Czy ludzie tacy jak ja, którym los (lub może zdaniem kogoś innego Bóg) dał ciało inne niż duszę? A może jednak świadomość, że – jak twierdzi duchowny Rydzyk: „To bardzo poważna sprawa”. Poważniejsza niż transseksualiści i geje. Sprawa zagrożenia utraty choćby części dochodów Kościoła, jakie – licząc w miliardach – sponsoruje demokratyczne państwo.

Niedawno wypowiedziałam się w mediach, całkowicie zgodnie z przekonaniem, że chciałabym, aby Telewizja Trwam, jeśli spełnia wymogi formalne, była nadawana na tzw. multipleksie pierwszym. Jeśli są ludzie, którzy tego pragną... Nie przeszkadza mi całkowita odmienność poglądów jej współwłaściciela Pana Rydzyka ani jego zwolenników od moich. Uważam bowiem, że każdy powinien mieć prawo do ich wyrażania. Jednakże pod pewnymi warunkami: bez łamania prawa, bez mowy nienawiści. Tak. Potrzeba nam wolności, ale wolności bez nienawiści. I każda odmienność, nawet taka, jaka dotyczy naszych rycerzy Kościoła, wymaga tolerancji. Przynajmniej do momentu, w którym nie narusza się godności innych ludzi.



Prekariuszki wszystkich zawodów łączcie się

Jak przekonać biurową klasę średnią do lewicowych postulatów? Najpierw skończmy z wszechobecnym wychwalaniem konsumpcji, która staje się ważniejsza od praw pracowniczych

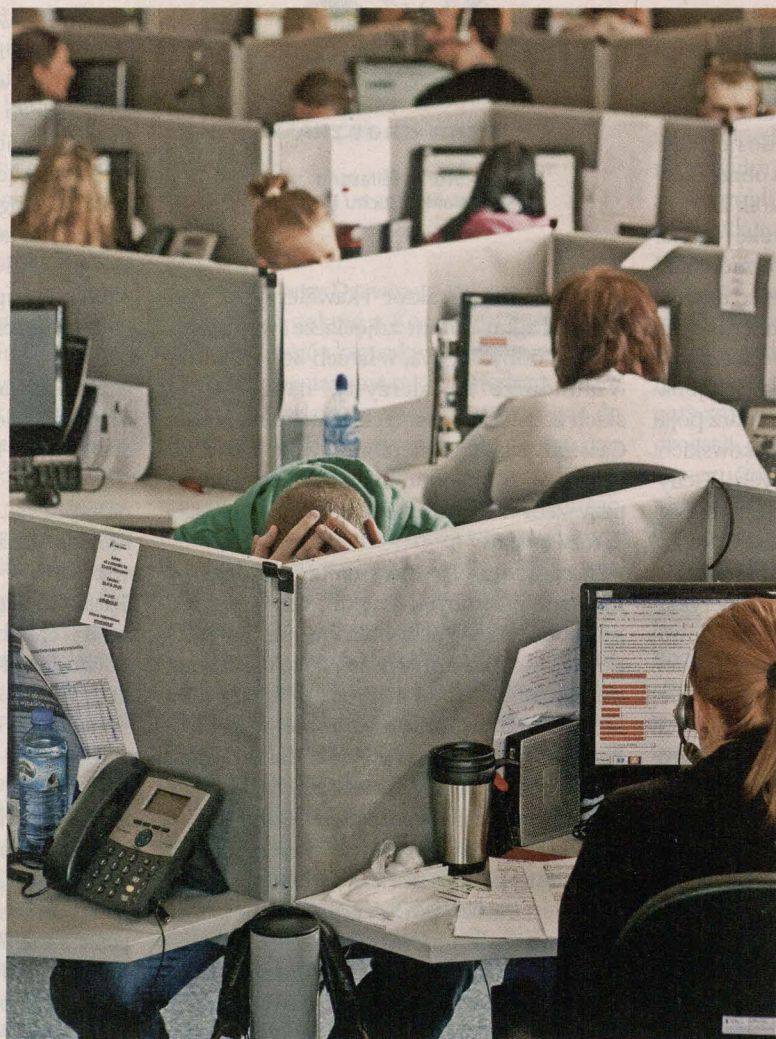
ALEKSANDRA BILEWICZ, JULIA KUBISA

Nowa lewica popełnia historyczny błąd – przynajmniej zdaniem dziennikarza „Gazety Wyborczej” Wojciecha Orlińskiego, który w tekście „Smutek walkoweru, czyli Kasia Tusk jak ojciec Rydzyk” („Duży format” z 22 marca) zarzuca kardynalne zaniechanie całej ideowej formacji oraz Marcie Karaś i Ilonie Witkowskiej, autorkom tekstu „Kasia Tusk kupuje więc żyje” („Przekrój” z 12 marca).

Otóż, jak twierdzi Wojciech Orliński, lewicy brak zainteresowania biurową niższą klasą średnią zatrudnioną na śmieciowych umowach. Co gorsza, klasę tę oddaje lewica „walkowerem” w ramiona Kasi Tuska jako reprezentantki liberalnego establishmentu i dobrotliwej w gruncie rzeczy doradczynie, która podpowie, który markowy ciuch wybrać, aby przetrwać na niepewnym stanowisku asystentki klienta.

Zawsze nie dość dobrze

Jeszcze kilka lat temu nowej lewicy zarzucano, że nie interesuje się rzeczywistymi problemami klasy pracującej. Gdy dziś powstają kolejne opracowania dotyczące pracy w specjalnych strefach ekonomicznych, problemów mieszkaniowych oraz pogarszających się warunków pracy w sektorze



się opamiętać w konsumpcyjnym szale i pielęgnować społeczną wrażliwość – podsumowana jest w innym tekście Wojciecha Orlińskiego („Książki” z grudnia 2011) jako rodzaj pięknośnośnictwa. Nawet Manifa, która w ubiegłym roku sprzeciwiała się umowom śmieciowym jako szkodliwym dla kobiet, najwyraźniej sprzeciwiała się w stopniu niedostatecznym.

Innymi słowy, co się nie zrobi, to i tak źle, bo niewystarczająco. Zawsze będą dzieci w Somalii, wykluczeni budowlańcy, niepełnosprawni na wsi, samotni ojcowie, którymi się jeszcze nikt nie zajął, co jest skandalicznym niedopatrzeniem. Młoda lewica będzie w pocie czoła wypracowywać stanowiska i opracowania o kolejnych problemach społecznych, a felietonista wskaże palcem, gdzie są braki, gdzie posprzątać i odkurzyć oraz gdzie jeszcze zostały zacieki.

Wiele twarzy prekariatu

Niemniej przywołany przez Orlińskiego prekariat jako zjawisko wart jest ana-

lizy. Która – dodajmy – ma miejsce od dłuższego czasu. Powstają kolejne publikacje (np. raport Izabeli Desperak i Judyty Śmiałek z 2010 r.) oraz badania (polskie i międzynarodowe), a czasopismo naukowe „Praktyka

Teoretyczna” tłumaczy właśnie „Prekariat” Guya Standinga, który pierwszy opisał to zjawisko.

Kwestia przekonania rosnącej grupy (szerzej niż ulubiona przez Orlińskiego biurowa klasa średnia) pracowników pozbawionych stabilności i praw socjalnych do lewicowych postulatów jak najbardziej nas obchodzi. Warto o tym rozmawiać, ale kluczowe jest właściwe zdefiniowanie problemu.

Wojciech Orliński przeciwstawia zbłądaną doktorantkę w wyciągniętym swetrze, czytającą Żizka i zapatrzoną w Szczukę – samotnej matce pracującej w biurze na stanowisku, na którym musi być zawsze ładna i uśmiechnięta. Opozycja między nimi jest jednak pozorna – „uduchowiona” absolwentka afrykanistyki, tak jak marząca o urlopie w Egipcie „pragmatyczna” absolwentka zarządzania, najczęściej jadą na tym samym wózku. Ich zarobki są podobnie niskie, a przyszłość niepewna. Po studiach obie nie mogą wstąpić do związku zawodowego, kupić mieszkania, liczyć na prawo do wakacji, zwolnienia czy urlopu macierzyńskiego. To prawda, że doktorantka w swetrze

posiada coś, czego nie ma asystentka w call center – kapitał kulturowy, który pozwala językowo, estetycznie i pod względem stylu życia odróżnić się od doradczynie klienta oraz być może – zdiagnozować sytuację niestabilności, która jest jej udziałem. Natomiast w przypadku asystentki w krytycznej analizie własnej sytuacji przeszkadza kultura konsumpcji, której emanacją jest blog Kasi Tuska Makelifeeasier.

Prekariat jest niezwykle zróżnicowany wewnętrznie – ludzie, którym brak stabilnego zatrudnienia, różnią się wysokością dochodu, pochodzeniem społecznym, stylem życia. Wykonują odmienne zawody – od kasjerki w supermarkecie, przez pracownicę biura, do koordynatorki projektu w organizacji pozarządowej. Należące do prekariatu osoby mają różne cele, marzenia i aspiracje, dlatego trudno im zauważyć wspólne cechy swojego położenia i jego strukturalne przyczyny. A potem wspólnie zawalczyć o zmianę niekorzystnej sytuacji.

Guy Standing dostrzegł w europejskim ruchu Oburzonych i w protestach arabskiej wiosny ruch coraz bardziej uświadomionego

prekariatu. Nawet jednak tam, gdzie protesty były liczne, zebraniem tłumom trudno było wyartykułować wspólne postulaty. Na spotkaniach polskiego nikłego ruchu Oburzonych większość czasu była poświęcona kontrowersjom związanym ze sposobem podejmowania decyzji tak, żeby wszystkie opinie były uwzględnione, co jednak paraliżowało dyskusję. Nawet kiedy świadomość zaczyna kielkować, nowa klasa, dziecko elastycznego kapitalizmu, jest w sposób idealny (dla konserwacji systemu) indywidualistyczna, pozbawiona wspólnych, stabilnych punktów odniesienia, a więc i wspólnego głosu.

Lepiej konsumować, niż mieć prawa

W Polsce Oburzeni nie wypełnili ulic i placów. Z radia, telewizji i gazet wciąż słyszą, że są zbyt mało elastyczni i przedsiębiorczy. Że winni są sami sobie, bo dokonali wyboru złego kierunku studiów, a w czasie studiów niedostatecznie rozwijali się zawodowo. Że edukacja powinna dostosować się do rynku pracy, a ten powinien stać się (jeszcze) bardziej elastyczny. Co więcej, słyszą, że zwiększanie konsumpcji jest nie tylko cnotą, →

REKLAMA

SZANSA NA PRZEŻYCIĘ EGZEKUCJI PRZEZ ROZSTRZELANIE TO 0,0001%

TWÓJ 1% PODATKU TO DLA SKAZAŃCÓW ZNACZNIE WIĘKSZA SZANSA NA PRZEŻYCIĘ.

STOWARZYSZENIE AMNESTY INTERNATIONAL
KRS 0000 11 06 95 www.amnesty.org.pl/1procent

AMNESTY INTERNATIONAL

→ ale rzeczą absolutnie niezbędną do tego, żeby kraj się rozwijał, a ludzie żyli dostatnio. W tym sensie „Kasia Tusk” to tylko wierzchołek góry lodowej, jaką jest przemysł reklamowy, utrzymujący się z generowania coraz to nowych potrzeb. Przemysł, który potrafi sprawić, że osoba zarabiająca 2 tys. zł miesięcznie kupuje markowy ciuch za 200 zł. Kupuje jednak nie z miłości do wymyślnych stylizacji, tylko dlatego, że kultura konsumpcyjna wiąże się z modelem pracy, w którym coraz istotniejszą rolę odgrywa wygląd. „Firma to ja, bo to ja firmę reprezentuję” – tak ma myśleć pracownica nawet najniższego szczebla, choć w zamian firma oferuje jej jedynie umowę śmieciową.

Przez to emocjonalne zaangażowanie, wspomagane przez mechanizmy zarządzania zasobami ludzkimi, które w dość wymyślny sposób przywiązują ludzi do miejsc pracy, ale nie pozwalają na dojrzenie wspólnoty doświadczeń, trudno prekaryjność nazwać po imieniu.

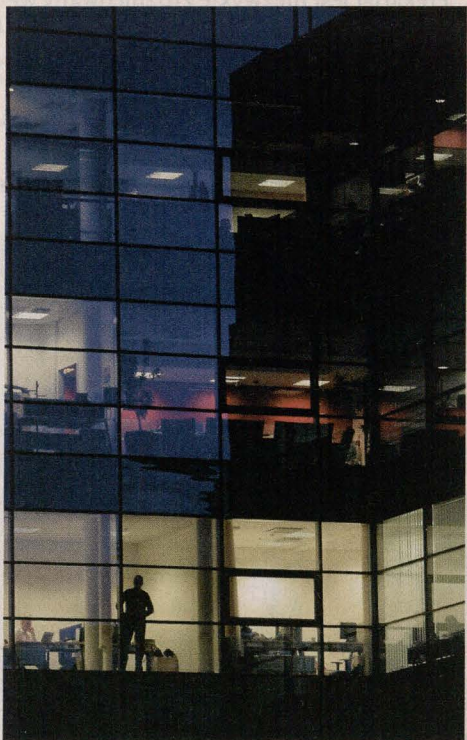
Żyjemy w kraju, w którym zdarza się, że ludzie w imię zaspokajania rosnących konsumpcyjnych potrzeb nie dbają o ubezpieczenie zdrowotne i emerytalne, rezygnują z umów o pracę i zgadzają się na śmieciowe umowy, żeby zarabiać więcej i żeby tylko nie oddawać „złemu fiskusowi”, który wszystko zmarnotrawi. Dlatego tak potrzebna jest zmiana mentalności większości inteligencji, a zwłaszcza dziennikarzy (także z macierzystej redakcji Wojciecha Orlińskiego), którzy z gorliwością większą niż rządzący politycy codziennie powtarzają anachroniczne i konserwujące stan rzeczy opinie.

Dzięki takiemu dyskursowi medialnemu podstawowe pracownicze uprawnienia, jak wyżej płatne nadgodziny, określony wymiar czasu pracy, płatne zwolnienie chorobowe, w tym zwolnienie na chorujące dziecko, urlop rodzicielski, urlop wypoczynkowy czy prawo do zrzeszania się w związki zawodowe, prezentowane są jako „przywileje” stanowiące zasadniczą przeszkodę w rozwoju firmy. Sprzyja temu bardzo ograniczona świadomość własnych praw, którą mają młode osoby na rynku pracy. O ile w szkołach średnich uczzone są konkurencyjnego modelu przedsiębiorczości, to nie dostają wiedzy z zakresu prawa pracy.

Piękno, elastyczność, samotność

Zjawiska kultury popularnej, takie jak blog Kasi Tuska, polegający na odwzorowaniu bieżących trendów konsumpcyjnych (bo przecież nie na twórczej zabawie modą),

wzmacniają ten model. Nuda za biurkiem versus przesiadywanie w kawiarni z laptopem, brak zobowiązań i wielość zleceń, które można wykonywać zgodnie z własnym elastycznym grafikiem, a nie sztywnym 917. Etat jest sztywniakiem, elastyczność jest zgodna z duchem czasów, gdzie trzeba często zmieniać pracę, żeby zdobywać coraz to nowe doświadczenia. Tak jak nie chce-



Tomasz Stańczak/AGENCJA GAZETA

„Firma to ja, bo to ja firmę reprezentuję – tak ma myśleć pracownica nawet najniższego szczebla

my się wiązać długimi umowami z operatorami sieci komórkowych, tak nie chcemy wiązać się z pracodawcą. Model pracy wiąże się ściśle z modelem stylu życia, praca i czas wolny przenikają się – można zarabiać przyzwoite pieniądze, prowadząc blog, na którym prezentuje się własne nicnierobienie przeplatane się z kupowaniem.

Z promowanego wzorca opartego na elastycznym dopasowywaniu się do świata

i kreowaniu siebie poprzez zdobywanie kolejnych, zawsze interesujących doświadczeń (jako zleceniobiorca, bo już nie pracownik) wypada to, co jest jego ukrytym sednem. Stan elastyczności to w pewnym sensie stan wiecznej niedojrzałości – zawsze jest tylko „tu i teraz” (kolejne zlecenie czy projekt), co uniemożliwia planowanie sobie życia. Dodajmy, że wbrew popkulturowym przekazom wynagrodzenia elastycznych zleceniobiorców wcale nie są wysokie.

Zarzut wobec bloga Makelifeeasier i stojącej za nim kultury konsumpcji jest taki, że wymaga podstawowe doświadczenie prekariatu – czyli właśnie niepewność – które jest udziałem osób pracujących na krótkoterminowych umowach i niemających oparcia w żadnej zbiorowości. Przekaz, który można podsumować jako: „Jest w porządku, po prostu źle ci, że nie masz jeszcze niebieskiej bluzki. Jeśli nauczysz się, jak idealnie wyprostować włosy, będzie OK”. Ten dość groteskowy przykład pokazuje usypiającą moc kultury konsumpcji, która społeczny problem sprowadza do indywidualnych rozwiązań. Jeśli zaś okaże się, że jednostkowe rozwiązania nie działają, bo nowa bluzka czy kupiony na raty iPhone nie przyniosły ulgi – znaczy to, że z jednostką jest coś nie w porządku. Nie ma się przeciwko komu buntować. Bo jak wskazać wroga w neoliberalnym porządku, w którym każdy jest kowalem własnego losu i sam odpowiada za swoje porażki?

Trudniej jest zauważyć podobieństwo problemów wynikających z tej niestabilności, jeśli w prasie doświadczenia biurowej klasy średniej przeciwstawiane są sytuacji robotnic. A przecież zasadniczym problemem prekariatu jest to, że każdy w nim czuje się sam. Rola nowej młodej lewicy jest ten stan rzeczy odwrócić.

To prawda, że młoda lewica bywa elitarna, przesiaduje w warszawskich klubokawiarniach i czasem posługuje się językiem, który trudny jest do przyjęcia dla nieinteligentnych środowisk. Szkoda jednak, że Orliński swojej inteligencji i błyskotliwości używa do tego, aby podkopywać jej działania i podważać krytykę bezmyślnego konsumpcjonizmu lansowanego między innymi przez „Kasię Tuska”. Lepiej zastanówmy się, jak tworzyć wspólną strategię dla prekariatu w Polsce, aby walczyć z niepewnością, która dotyka i tych z tabletem na kanapie (tak, rację ma Orliński, w kapitalizmie nie można wyglądać na przegranego), i tych w call center, dla których Makelifeeasier czyni życie „harder”.

Mój prywatny ranking ministrów



ADAM OSTOLSKI

Autor felietonu jest socjologiem

Podobno rząd Donalda Tuska do niedawna nic a nic nie reformował. Gdyby ocenę dokonań koalicji PO – PSL budować w oparciu o jej medialny obraz, mieliśmyby cztery lata względnego marazmu i nagle – ni stąd ni zowąd – pomysł na reformę emerytalną. Jeśli jednak przyjrzymy się temu, jak wyglądają po tych kilku latach różne dziedziny życia, widać głębokie i zapewne nieodwracalne zmiany. W obszarze edukacji, ochrony zdrowia, transportu, nauki, podatków czy polityki społecznej nie żyjemy już w tym samym kraju co poprzednio. Dawno nie było rządu, który w ciągu kilku lat tak gruntownie odmieniłby Polskę. A na pewno żaden nie robił tego tak bezszelestnie.

Co ważne, zmiany wprowadzone przez poprzedni rząd Donalda Tuska ukazują swoje oblicze stopniowo. I dopiero teraz widać ich rzeczywisty kierunek. Wbrew opinii większości komentatorów pierwsza kadencja Platformy nie była ani bezładnym dryfem, ani serią pragmatycznych dostosowań. Tusk konsekwentnie, choć bez fanfar, realizował swoją wizję Polski. Polega ona na zerwaniu charakterystycznej dla nowoczesnego państwa więzi między jednostką a instytucją.

W nowoczesnym europejskim państwie rząd jest odpowiedzialny za koordynację poszczególnych dziedzin życia, a jednostki odnajdują swoje miejsce w porządku społecznym za pośrednictwem szeregu instytucji: eduka-

cji, ochrony zdrowia, opieki społecznej, kultury itp. Nad wszystkim króluje fikcja równości. Fikcja złudna – bo system nie funkcjonowałby bez odtwarzania nierówności społecznych. Ale zarazem fikcja ożywcza – bo bez iluzji równości ludzie nie uznawaliby tego systemu za własny.

To dobry moment, żeby przyrzeć się sukcesom poszczególnych ministrów w realizacji tego zadania. Sądząc po pozorach, palmę pierwszeństwa trzeba by przyznać Ministerstwu Likwidacji Skarbu Państwa. Ministrowi udało się sprywatyzować większość publicznych przedsiębiorstw tak skutecznie, że wkrótce będzie można zlikwidować samo ministerstwo. Ale zadanie miał łatwiejsze niż inni, więc włączenie go do konkursu byłoby nie fair.

Z innych powodów musimy zrezygnować z oceny dokonań Ministerstwa Likwidacji Infrastruktury. Z jednej strony doceniam, że udało się zamknąć kolejne kilometry linii kolejowych. Tempo ich wyłączania z ruchu wprowadziło spadło, ale trzeba na to spojrzeć w dłuższej perspektywie. Każda złotówka zaoszczędzona dziś na remontach torów już teraz przekłada się na wydłużenie czasu potrzebnego na podróż koleją, a w przyszłości daje gwarancję zamknięcia kolejnych linii. Bądźmy więc cierpliwi i pogódźmy się z myślą, że z oceną dokonań ministerstwa musimy poczekać.

Na ringu zostają cztery ministerstwa, odpowiedzialne za kulturę, zdrowie, edukację i naukę. Przykro to mówić, ale Ministerstwo Likwidacji Kultury wypadło miernie. Bogdanowi Zdrojewskiemu nie udało się zlikwidować bibliotek w małych miejscowościach, mimo że się starał, a zadanie wydawało się banalne. Jeszcze bardziej spektakularną klęskę poniósł przy próbie likwidacji dostępu do kultury w Internecie. Nic dziwnego, że Tusk kazał mu repetować.

Trzecie miejsce przypada Barbarze Kudryckiej, odpowiedzialnej za Ministerstwo Likwidacji Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Pani minister ma na tym polu realne sukcesy – już dziś zajęcie się w życiu pracą naukową wymaga jakiejś mieszkanki heroizmu i skłonności do autodestrukcji. Trzeba po prostu umieć robić coś z niczego. Także wykładanie na uczelniach udało

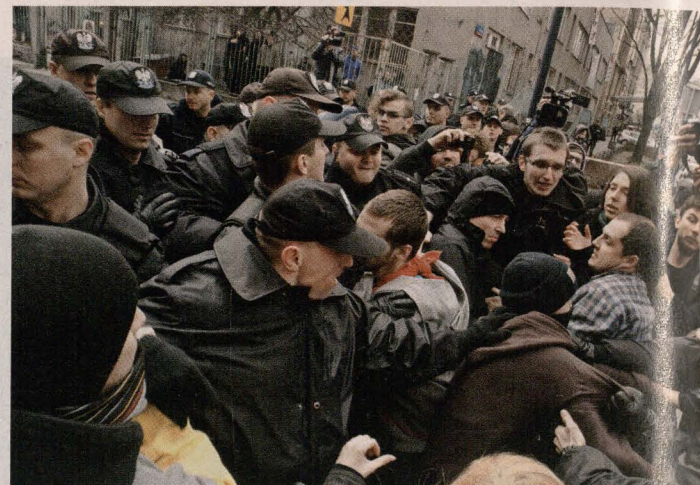
się skutecznie ograniczyć, zajmując wykładowcom czas wypełnianiem coraz dłuższych i coraz bardziej bezsensownych formularzy. Mimo wszystko jednak nauka w Polsce wciąż istnieje, istnieją też uniwersytety. To zrozumiałe, że Tusk pozostawił Kudrycką na następnej kadencji, żeby poprawiła niedociągnięcia.

Drugie miejsce muszę po namyśle przyznać Ministerstwu Likwidacji Edukacji Narodowej. Katarzyna Hall dokończyła dzieła swych poprzedników. Kilkanaście lat temu rozmontowano system szkół zawodowych, uznając, że wszyscy powinni mieć edukację ogólną. Dziś rozmontowuje się edukację ogólną, żeby lepiej dostosować absolwentów i absolwentki szkół średnich do potrzeb rynku pracy. Pracodawcy będą mieli zapewniony dopływ odpowiednio sformatowanej siły roboczej, zaś ci, którzy będą chcieli lepiej zadbać o swoje dzieci, zawsze będą mogli posłać je do szkół prywatnych lub katolickich. To opcja dla nielicznych, ale przecież właśnie o to chodzi.

Grand prix bezdyskusyjnie przypada Ministerstwu Likwidacji Zdrowia. Ewa Kopacz miała wprawdzie wpadkę, jaką była ustawa o prawach pacjenta, ale na szczęście późniejsze ustawy pozbawiły większość z tych praw realnej treści. Miarą sukcesu minister likwidacji zdrowia może być fakt, że nawet urzędnicy w ministerstwie nie rozumieją meandrów ustaw, które przeprowadziła przez Sejm. Awans na stanowisko marszałka Sejmu zasłużony!

Czym się zapiszą ministrowie obecnego rządu? Warto przyglądać się np. Ministerstwu Likwidacji Środowiska, którego zadaniem będzie dbanie, by środowisko za bardzo nie przeskadzało w eksploatacji łupków. Oraz fatalnie dotychczas zaniedbanemu Ministerstwu Likwidacji Pracy i Polityki Społecznej. Władysław Kosiniak-Kamysz już pokazał swoje zaangażowanie, proponując pozbawienie części bezrobotnych prawa do ubezpieczenia zdrowotnego. Jako minister musi dbać o likwidację polityki społecznej, ale będąc prywatnie lekarzem, troszczy się również o likwidację zdrowia. Radzę śledzić uważnie jego losy, bo wróże mu w tym rządzie wielką przyszłość.

Burzliwe narodziny Przychodni



Adam Borowski (2)

Słot Przychodnia oficjalnie działa dopiero kilka dni, ale w tym czasie zdołał już wywołać zamieszki uliczne i skłonić władze Warszawy do podjęcia negocjacji. Co będzie dalej?

KRZYSZTOF PACEWICZ

Na samym końcu demonstracji w obronie słotu Elba, która odbyła się 23 marca, spiker ogłasza przez głośnik: „W Warszawie jest wiele stojących bezużytecznie pustostanów. Od jutra przejmujemy jeden z nich!”.

Sobota – otwarcie

W sobotę odbywa się oficjalne otwarcie słotu Przychodnia, w samym centrum Warszawy. Budynek mieścił w sobie kiedyś przychodnię chorób płuc i gruźlicy, stąd nazwa.

– Od dwóch lat budynek stał pusty i niszczał. Weszliśmy tu już ponad miesiąc temu, jednak wydarzenia w Elbie przyspieszyły oficjalne otwarcie – mówi na konferencji prasowej Michał, przedstawiciel skłotersów z Przychodni.

Wbrew medialnym doniesieniom ekipa z Przychodni nie jest ekipą z Elby, chociaż pozostają ze sobą w bliskim kontakcie. Jeszcze bliżej im, przynajmniej geograficznie, do Syreny – słotu na ulicy Wilczej, który mieści się tuż przy Przychodni. Oba tereny stykają się po-

dworkami i podczas otwarcia mieszkańcy Syreny przechodzą na teren Przychodni po drabinie przystawionej do płotu.

Na otwarcie przychodzi kilkadziesiąt osób – głównie młodych ludzi, trochę mediów, trochę sąsiadów Przychodni. Goście pomagają, wnosząc meble do środka czy malując płot na kolorowo, ale też grają w piłkarzyki, pieką wegetariańskie szaszłyki.

Podczas konferencji prasowej Maja, przedstawicielka kolektywu Przychodnia, odczytuje manifest: „Czas wziąć sprawy w swoje ręce i odzyskać miasto dla nas, dla ludzi, którzy je tworzą! To my, zwykli mieszkańcy i zwykłe mieszkanki, stanowimy tkankę Warszawy, a nie szefowie międzynarodowych korporacji i maklerzy giełdowi”.

Niedziela – obiad

W niedzielę skłotersi z Przychodni wspomagani przez ekipę z Syreny zapraszają wszystkich na darmowy wegański obiad na podwórku. Przychodzi około stu osób, jedzą m.in. ryż z warzywami i pastą z brokułów. W międzyczasie trwają prace w budynku – sprzątanie, meblowanie, malowanie murali na ścianach.

Po obiedzie skłotersi pokazują gościom dokument w reżyserii Magdy Malinowskiej „Burzazja wraca do centrum”, opowiadający o walce o prawa lokatorskie. Po filmie – dyskusja.

Jacek, jeden z organizatorów projekcji: – Chcieliśmy pokazać, że problem braku mieszkań i przestrzeni kulturalno-społecznej wynika ze złej polityki mieszkaniowej miasta. Działa ono jak firma – zgadza się tylko na takie inwestycje, które przynoszą wymierne materialne zyski. To nie jest tak, że my opowiadamy się za nierentownymi przedsięwzięciami – priorytetem powinny być jednak inwestycje, które służą ludziom, a nie te spektakularne albo mające na celu podniesienie rangi miasta w oczach inwestorów.

Poniedziałek – zamieszki

W poniedziałek rano skłotersi zaczynają przeprowadzać większe remonty – kłaść nową papę na dachu, uszczelniać rynny... Nagle przed bramą do Przychodni pojawiają się policjanci, próbują wejść do środka. Około 20 osób barykaduje się w budynku, część wchodzi na dach. Całość zaczyna przypominać próbę ewakuacji Elby – pod bramą Przychodni zbiera-

ją się zwolennicy słotu. Policjanci próbują odepchnąć demonstrantów od ogrodzenia. Są chamscy i brutalni, jeden z nich popychając demonstranta, grozi, że da mu „z kopa”.

Po kilkunastu minutach policjantom udaje się utworzyć „strefę buforową” wokół Przychodni. Co chwilę prowokują kolejne przepychanki, próbując odpychać demonstrantów jeszcze dalej od budynku. Na szczęście na miejscu są kamery telewizyjne, co zdaje się działać na funkcjonariuszy uspokajająco. Pojawiają się też Krystian Legierski oraz obserwatorzy z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Ze skłotersami zabarykadowanymi w środku rozmawiają przedstawiciele Zakładu Gospodarowania Nieruchomościami, nie dochodzi do porozumienia. W międzyczasie demonstranci przerzucają im prowiant ponad kordonem policji.

Gdy emocje sięgają zenitu, na miejscu pojawia się znienawidzony przez ruch skłoterski burmistrz dzielnicy Śródmieście Wojciech Bartelski, ten sam, który po próbie obrony Baru Prasowego zasłynął wypowiedzią, że bary mleczne nie pasują do centrum miasta, bo są „tanie i przasne”, a w Śródmieściu powinno być „nieco drożej, ale nowocześnie”. Bartelski informuje, że skłotersi zajmują budynek nielegalnie, ale – żeby nie zaoznaczyć sytuacji – zaprasza ich we wtorek na negocjacje. Po kilkunastu minutach policja się wycofuje, spisując kilku skłotersów. Dwie osoby zostają zatrzymane. Na Przychodni pojawia się ogromny banner „Occupy Warsaw”.

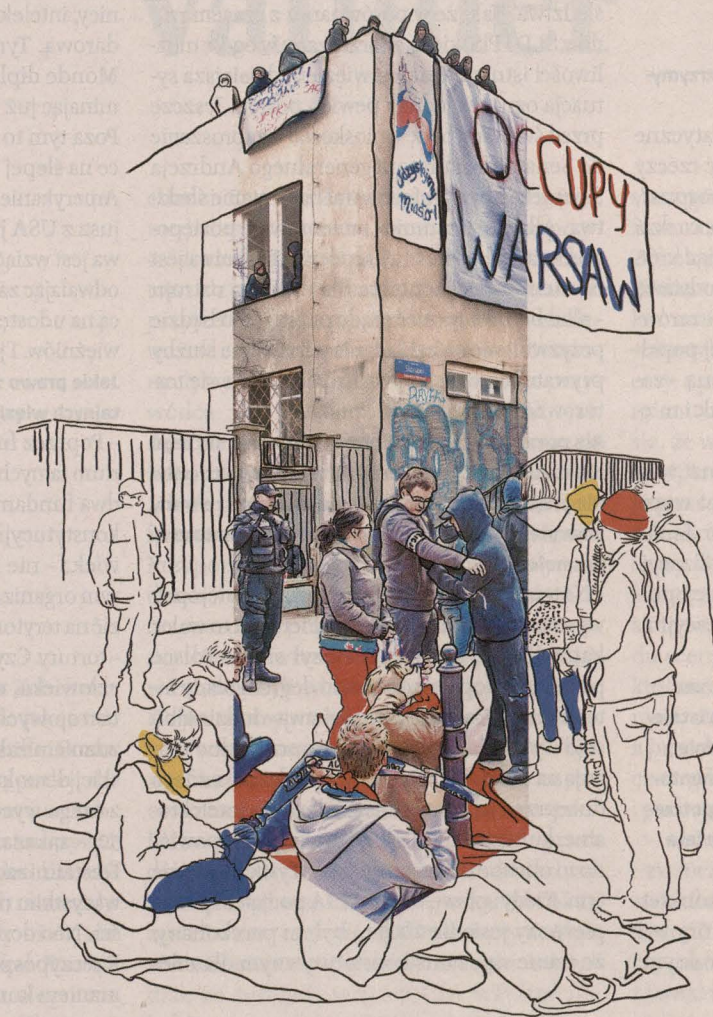
Wtorek – negocjacje

Wbrew obawom skłotersów bezkompromisowy burmistrz Bartelski, współzałożyciel skrajnie konserwatywnego, wolnorynkowego stowarzyszenia KoLibier, nie odzywa się ani słowem. Negocjacje prowadzi ugodowo nastawiony wiceprezydent Warszawy Włodzisław Paszyński.

Skłotersi domagają się nie tylko możliwości pozostania w Przychodni, ale też m.in. powo-

łania „lokatorskiego okrągłego stołu”, który miałby wypracować systemowe rozwiązanie problemów lokatorskich w Warszawie, oraz uchwalenia ustawy reprivatyzacyjnej.

Paszyński odpowiada, że takie działania nie leżą w jego kompetencjach. Informuje skłotersów, że budynek Przychodni zostanie w ciągu kilku miesięcy sprywatyzowany, oferuje jednak, że miasto udostępni na ich działalność



inną nieruchomość, „nie gorszą, a być może nawet i lepszą niż Przychodnia, za przysłówkową złotówkę”.

Zaskoczeni taką ofertą skłotersi oznajmiają, że muszą omówić to z resztą kolektywu. Zapraszają wiceprezydenta na kolejne spotkanie, tym razem do Przychodni. Paszyński gwarantuje, że do czasu zakończenia rozmów policja nie będzie wchodziła na teren słotu.

Środa – co dalej?

W środę kolektyw Przychodni spotyka się, by uzgodnić stanowisko. Następne spotkanie

z wiceprezydentem zostaje umówione na poniedziałek 2 kwietnia.

– Propozycja miasta okazała się bardziej przychylna, niż się spodziewaliśmy – tłumaczy nam Ania, członkini kolektywu. – Miasto zrozumiało, że nie chodzi o kilku dzikich lokatorów, którzy piją, palą i wywołują pożary. W ramach ruchu skłoterskiego ścierają się jednak różne postawy – niektó-

rzy nie chcą zaakceptować żadnych warunków, jakie stawia miasto. Zakładanie stowarzyszenia raczej nie wchodzi w grę, musi mieć przewodniczącego, zarząd, odpowiedzialność prawną. A co z naszą niehierarchiczną strukturą? Paszyński powiedział, że najemcą może być też osoba fizyczna, ale kto się podejmie takiej odpowiedzialności? Zresztą nam nie chodzi tylko o Przychodnię – w Warszawie kilkadziesiąt tysięcy pustostanów stoi nieużywanych, z drugiej strony wielu warszawiaków mieszka w warunkach urągających ludzkiej godności, brakuje miejsc na kulturę. My jesteśmy młodzi i kolorowi, więc władze chcą z nami rozmawiać, ale co z tysiącami starszych ludzi, którym miasto nie ma nic do proponowania? Z drugiej strony już sam fakt, że poszliśmy na negocjacje, pokazuje, że jesteśmy otwarci, chcemy rozmawiać. Zależy nam, by móc działać bez strachu o to, że w każdej chwili możemy spodziewać się najazdu policji.

– Platforma po sprawie ACTA poczuła, że traci kontakt z młodymi wyborcami. Czy myślisz, że to dlatego miasto nagle zmieniło ton, próbując pokazać, że PO jest młodym przychylny? – pytam Annę.

– Możliwe, tym bardziej że osoby z Ruchu Palikota włączyły się w obronę słotów i PO nie chce być gorsza, zwłaszcza że do niedawna to głównie młodzi głosowali na Platformę. Mnie do tej pory wydawało się, że tu nie chodzi o wizerunek partii politycznych, tylko o rozwiązywanie problemów miasta, ale może jestem naiwna.

Polska zbrodnia stanu

Z byłym europarlamentarzystą, senatorem PO **JÓZEFEM PINIOREM**, od lat próbującym wyjaśnić sprawę tajnych więzień CIA w Polsce, rozmawia Stefan Zgliczyński

W jakich okolicznościach można torturować ludzi?

– W żadnych.

A zatrzymywać, aresztować i latami przetrzymywać bez sądu?

– W żadnych. To jest zabawne, dramatyczne i smutne, że w Polsce trzeba tłumaczyć rzeczy podstawowe, np. co to jest „habeus corpus”, podstawa, jeszcze średniowieczna, tego, co dziś nazywamy rządami prawa. Czyli, mówiąc krótko, że każde zatrzymanie musi mieć podstawę prawną. Dotyczy to wszelkich sytuacji – zarówno w czasie pokoju, jak i wojny. Inaczej popełniamy przestępstwo, zbrodnię wojenną – zarówno na gruncie prawa polskiego, jak i międzynarodowego.

Jestem zszokowany tą debatą na temat więzień CIA w Polsce. To, co na ten temat wypisują niektórzy dziennikarze, np. Igor Janke z „Rzeczpospolitej”, to jest regres cywilizacyjny. To już nie jest nawet kryzys prawicy polskiej, to jest zapaść kulturowa i cywilizacyjna. To usankcjonowanie barbarzyństwa.

Dlaczego przez całe lata, po ujawnieniu przez „Washington Post” w 2005 r. informacji o istnieniu tajnych więzień CIA w Europie Wschodniej, byłeś praktycznie jedynym polskim parlamentarystą i politykiem, który głośno mówił o potrzebie wyjaśnienia całej sprawy? Nic przez te lata się nie zmieniło?

– Coś się jednak zmieniło. Rząd PO, a konkretnie jego minister sprawiedliwości, który był jeszcze wówczas prokuratorem generalnym,

podjął latem 2008 r. decyzję o rozpoczęciu śledztwa. Tak, że w porównaniu z czasem rządów SLD i PiS, kiedy zaprzeczano w ogóle możliwości istnienia takich więzień, dzisiejsza sytuacja oznacza jednak pewien postęp. Jeszcze przed świętami będę wnioskował o zaproszenie do Senatu prokuratora generalnego Andrzeja Seremeta, aby poinformował nas o stanie śledztwa. Albo to zrozumie i zmieni swoje postępowanie, albo będzie musiał odejść. Ta sprawa jest bowiem fundamentalna dla naszego ustroju – albo będziemy mieć rządy prawa, albo będzie przyzwolenie na zakładanie przez tajne służby prywatnych więzień, w których będzie się torturować prywatnych więźniów.

Ale poza Januszem Palikotem nikt zdaje się tego nie rozumieć. Dla Millera i Kaczyńskiego to jedynie przykrywką dla odwrócenia uwagi od reformy emerytalnej i rzekomych kłamstw wokół katastrofy smoleńskiej.

– Na ten stan obojętności i lekceważenia tej sprawy mają wpływ dwie kwestie. Pierwsza to walec kapitalizmu, który przetoczył się po Polsce po 1989 r., doprowadzając do degrengolady intelektualnej całego społeczeństwa – ludzie albo stąd wyjeżdżają, albo nie mają pracy, albo pracują na śmieciowych umowach, drząc każdego dnia przed jej utratą. Zaś środowiska intelektualne, kulturowe, które – zdawałoby się – powinno to obchodzić, zajmują się wszystkim, ale nie tym. Kiedy sprawę więzień CIA podjąłem po raz pierwszy jesienią 2005 r., byłem przekonany, że stanie się czymś konstytutywnym dla mło-

dej, nowej lewicy. Że aktywiści lewicowi, prawnicy, intelektualiści uznają tę sprawę za szandarową. Tymczasem poza środowiskiem „Le Monde diplomatique” żadne inne, nie wspominając już o SLD, się tym nie zainteresowało. Poza tym to zdziwienie Polaków polegające na ślepej wierze w to, że wszystko, co robią Amerykanie, jest dobre i słuszne. Ta wiara w sojusza z USA jest tak absurdalna, że Polska gotowa jest wziąć na siebie rolę żandarma Ameryki, odwalając za nią brudną robotę, m.in. polegającą na udostępnianiu jej miejsc do torturowania więźniów. I jeszcze jesteśmy z tego zadowoleni. **Jakie prawo zostało w Polsce złamane istnieniem tajnych więzień CIA?**

– Poprzez funkcjonowanie na polskim terytorium tajnych ośrodków śledczych CIA złamano dwa fundamentalne prawa kształtujące ustrój konstytucyjny Polski. Po pierwsze, prawa człowieka – nie ma takiego prawa, zgodnie z którym organizacja wywiadowcza może sobie wchodzić na terytorium Polski kogokolwiek. Po drugie – tortury. Czyli fundamentalne naruszenie praw człowieka, wolności obywatelskich i podstaw ustrojowych naszego państwa. To jest moim zdaniem zakwestionowanie dwóch dekad polskiej demokracji. To jest przecież dokładnie to, z czego wycofali się stalinowcy pod koniec lat 50. – zakazano więzienia bez wyroku i tortur. Destalinizacja, przypomnę, polegała przede wszystkim na reformie wymiaru sprawiedliwości. No i oczywiście naruszenie suwerenności Rzeczypospolitej, co jest również jawnym złamaniem konstytucji. Ci, którzy dali Amerykanom zgodę na istnienie w Polsce ich więzień, zrzekli się suwerenności nad częścią kraju. Nikt im do tego nie dał prawa. To niepojęte!

Czy i tym razem, jak kilka lat temu, politycy zmiotą to pod dywan?

– Moim zdaniem to już nie jest możliwe. Za dużo o tym powiedziano i napisano. Nie wyobrażam sobie, aby zrobiono z Siemiatkowskiego kozła ofiarnego – on przecież nie zrobił tego na własną rękę. Według moich informacji ośrodki CIA powstały w Polsce na podstawie decyzji ówczesnego premiera Leszka Millera. Jeśli śledztwo potwierdzi moje informacje, to Miller powinien stanąć przed Trybunałem Stanu.

Kiejkutas Vaniller



TOMASZ PIĄTEK
Autor felietonu
jest pisarzem

d pewnego czasu papuga Zebek odnosi się do mnie mile, ale jakoś tak dziwnie mile, właściwie mille. Coraz miliej i miliej. Wzbudziło to moją podejrzliwość. A potem Zebek (może nawet już Zebek) zaczął sobie oddziobywać (odgryzać dziobem) swoje ptasie stopy. I oddziobał: zostały mu tylko kikuty, z których sterczały kości nóg. Kości początkowo były białe, ale Zebek natychmiast się na nie zesikał. Początkowo myślałem, że zrobił to z bólu, ale potem domyśliłem się, że Zebek chce zażółcić moim kikuty kości, żeby wyglądały na stare. I wtedy zrozumiałem w pełni, co się w ptasim mózgu dzieje:

Ostrożnie, mój Zebku
Bo mylisz się tu ty
Nie Stare Kikuty
Lecz Stare Kiejkuty

Zebek uległ (popelniając przy tym tę drobną, nieistotną pomyłkę lingwistyczną) wpływowi pewnego Starego Kiejkutas, który uśmiecha się mille, a nawet Miller. Kiejkutas Miller pragnie zostać przywódcą całej polskiej lewicy i w związku z tym atakuje, czyli się broni, bo w jego wypadku to na jedno wy-

chodzi. Razem z Zebkiem obserwujemy jego medialne i polityczne wyczyny. Miller przywódca lewicy jeździ po Polsce i zabiera Palikotowi działaczy terenowych (tak po prostu: przyjeżdża i zabiera). A równocześnie ubolewa nad ciężkim losem pracodawców obciążonych wysokimi kosztami pracy, Miller przywódca lewicy. Ten człowiek, tak jak dwadzieścia pięć lat temu był fanatycznym komunistą (w drugim obiegu pisano o nim: „cham partyjny, Leszek Miller”), tak teraz jest fanatycznym prawicowym republikaninem. Przypomnijmy jego najmilsze pomysły: podatek liniowy, niewprowadzone w końcu (na szczęście) powszechne prawo do posiadania broni i wreszcie tortur-więzienia CIA w Polsce, czyli właśnie Stare Kiejkuty. Stare Kiejkuty przypominano Millerowi, ponieważ jego współpracownik, były szef Agencji Wywiadu, Zbigniew Siemiatkowski, został oskarżony przez prokuraturę o to, że pozwolił na tortur-więzienia. Poproszony przez dziennikarzy o komentarz Miller uśmiechnął się mille, a nawet millitarnie, oskarżył oskarżycieli o narażanie naszych żołnierzy w Afganistanie na zemstę talibów, następnie stwierdził, że żadnych więzień CIA w Polsce nie było, potem oznajmił, że może były, ale wie o tym tylko Siemiatkowski, a on, uśmiechnięty miły Miller, nie wie nic.

Nie wie więc nasz Miller miły
Nic o podtapianiu miły
Nieświadomy biedny miły
Na wartości bardzo czuły

Do tego ostatniego komunikatu Miller dodał jeszcze, pewnie dla niepoznaki, że Palikot to oszust.

Papugi żyją długo, dłużej niż ludzie (to właściwie skandal i należałoby coś z tym zrobić: papugi powinny być wkładane do rąk swoim umierającym właścicielom, aby ci w chwili śmierci mogli je udusić – to musi być bardzo

szczegółne doznanie, coś tak sobie zabić równocześnie samemu umierając) i dlatego Zebek pamięta zespół popowy Milli Vanilli. W dawnych czasach, kiedy Miller był jeszcze komunistycznym chamelem partyjnym, był sobie taki zespół, który najpierw odnosił sukcesy, a potem w atmosferze skandalu odebrał mu nagrodę Grammy, ponieważ okazało się, że występujący w teledyskach frontmani nie śpiewają, śpiewa za nich ktoś inny. Wtedy jeszcze uważano takie rzeczy za oszustwo, to były takie śmieszne czasy. No, ale potem czasy się zmieniły i wszystko stało się jasne: frontmani nazywają się przecież frontmani, a nie singmani, bo są po to, żeby stać z przodu sceny i robić dobre wrażenie, gdy śpiewa ktoś inny. I Miller już nie jest chamelem partyjnym, Miller jest Miller Vaniller, on stoi z przodu sceny i robi dobre wrażenie, podczas gdy ktoś inny, przywiązany do ławki i podtapiany wodą, śpiewa.

– A może ty byś mi zaśpiewał, Zebku? – zwróciłem się do papugi. – Albo powiedział coś miłego, ale normalnie miłego, nie miłego? Litera H ma w środku poprzeczną kreseczkę: czy zastanawiasz się nad tym, jak by się ją wymawiało, gdyby tych kreseczek było dwie? Czy nie uważasz, że adres strony internetowej WujSaMa powinien się zaczynać nie od wu wu wu, ale od wuj wuj wuj?

– Faj faj faj – usłyszałem w odpowiedzi. A po chwili zdałem sobie sprawę z tego, że to nie było F. To było H, tyle że z podwójną poprzeczną kreseczką. Musiałem doprecyzować i zapytałem: Zebku, czy mówisz do mnie? Czy chcesz powiedzieć, że jestem podwójnie poprzecznym kutasem? Kiejkutasem?

Podczas odwiertu – odpowiedział Zebek – w syberyjskiej wiecznej zmarzlinie wykopano prehistoryczne złodowaciałe zwłoki, które przez cały czas wydzielają kryształki mroźnej spermy. Jakże to było piękne!





TOMASZ BOREJZA

Doktor Ancel Keys przeprowadził jeden z najciekawszych eksperymentów w historii nauki – przez rok głodził i uważnie obserwował 36 ochotników. Praca Keysa była jednym z ostatnich wielkich eksperymentów, w których ludzi zamieniono – bardzo dosłownie – w laboratoryjne szczury. Dziś względy etyczne nie pozwalają na przeprowadzanie podobnych badań. Trudno też sobie wyobrazić, że udałooby się znaleźć „ochotników” skłonnych do bycia obiektami badawczymi przez tak długi czas. Choć sposób przeprowadzenia badań jest dziś nieakceptowalny, to wyniki, uzyskane przez Keysa w czasie The Great Starvation Experiment (TGSE, Wielki Eksperyment Głodowy) i opublikowane w 1950 r. w monumentalnej „Biologii ludzkiego głodu” mogą nam dziś pomóc zrozumieć ważne społeczne mechanizmy.

„Porcja K”

W 1943 r., gdy rozpoczęto pracę nad TGSE, Ancel Keys był już uznanym naukowcem. Jednak pierwszy raz zetknął się z działalnością naukową jeszcze jako dziecko – ze względu na swoje bardzo wysokie IQ został wyselekcjonowany jako jedno z 1400 dzieci, których życiowe postępy obserwował słynny eugenik Lewis Terman.

Keys sławę w świecie nauki zawdzięczał badaniom nad fizjologią człowieka na dużych wysokościach. Znany był też w kręgu naukowców dzięki swojemu temperamentowi. Gdy w czasie badań prowadzonych w górach Chile doszło do kłótni o „szefowanie” wyprawie, Keys wprawną bokserską kombinacją rozwiązał wszelkie wątpliwości dotyczące jego roli w przedsięwzięciu. Zresztą ze sporą korzyścią dla siebie, ponieważ pionierskie wyniki tych prac zapewniły mu możliwość opublikowania aż 17 artykułów naukowych w znanych magazynach oraz zainteresowały Departament Wojny.

Urzędnicy z tego ostatniego, w sobie tylko znany sposób, połączyli prace w górach Chile ze spadochroniarzami i na początku wojny zlecili fizjologowi z Minnesoty opracowanie suchego prowiantu dla jednostek desantowych. Ten po otrzymaniu zadania udał się do lokalnych delikatesów, gdzie wraz ze sprzedawcą wybrał podstawowe produkty, które miały się znaleźć w tzw. Porcji K. Po serii testów prowadzonych wśród żołnierzy dopracowano zestaw. Wynik końcowy był tak udany, że George Patton zażyczył sobie ich dla pancerniaków.

Głód zabija duszę

O czym myśli wyголоzony człowiek?

Jak zmienia się jego zachowanie? Jak mu pomóc? Na te pytania starał się odpowiedzieć Wielki Eksperyment Głodowy. Wnioski dotyczą jednak nie tylko jednostek, ale i całych społeczeństw

Sukces zapewnił fizjologowi uznanie w kręgach wojskowych i dostęp do zasobów amerykańskiej armii.

Służba zastępcza w laboratorium

Keys zamierzał z nich skorzystać, by zapewnić dalszy rozwój własnej kariery. Uznał, że jednym z najważniejszych wyzwań, przed którym stanie powojenny świat, będzie poradzenie sobie z klęską głodu. By mu sprostać, potrzebna była jednak wiedza, którą dało się jego zdaniem zdobyć, jedynie prowadząc badania w pełni kontrolowanych warunkach. Do pomysłu sfinansowania eksperymentu przekonał Kościół głoszące bezwarunkowy pacyfizm, a więc m.in. kwakrów i menonitów (odwołując się do ich altruizmu) oraz wojsko (strasząc je „czerwoną zarazą”).

Ochotników do wzięcia udziału w eksperymencie także znalazł u sponsorów. Tak zwanych obdzektorów, którzy odmawiali czynnego udziału w wojnie, było wówczas w USA kilka tysięcy. Dominowali wśród nich przedstawiciele „pacyfistycznych” wyznań, których wojsko przydzielało do różnych mniej lub bardziej pożytecznych zadań. Sami obdzektorzy czuli zazwyczaj, że taka praca nie jest niczym pożytecznym, i szukali innych możliwości, wielu postarało się np. o pracę w szpitalach dla psychicznie chorych. Tę potrzebę wykorzystał Keys, szukając „obiektyw” do przeprowadzenia swojego badania.

Do obozów, w których skoszarowano mężczyzn odmawiających służby na froncie, rozesłał zaproszenia. Podkreślił w nich humanitarny wymiar całego przedsięwzięcia. Zgłosiło się ponad 200 ochotników. Zespół Keysa odwiedził każdego z tych mężczyzn. Kryteriami wyboru były mieszczanie się w normie, fizycznej

i psychicznej, ale także ich umiejętność współpracy oraz orientacja na zachowania „altruistyczne”. Ostatecznie wybrano 36, którzy zamieszkali w Minneapolis w laboratorium fizjologii mieszczącym się na parterze uniwersyteckiego stadionu futbolowego.

Kontrola, głód, rehabilitacja

Sam eksperyment został podzielony na trzy fazy. Zaczęto od trzech miesięcy okresu kontrolnego, w czasie którego dokładnie przebadano uczestników. Sprawdzano m.in. ich wydolność, zawartość tłuszczu w organizmie, liczebność i żywotność plemników. Określono też – na 3210 – dzienną liczbę spożywanych kalorii, która pozwalała na utrzymanie wagi na stałym poziomie.

Drugim etapem była faza wyголоdzenia. Ta trwała aż sześć miesięcy. Ustalono wartość kaloryczną posiłków na połowę tej z okresu kontrolnego. Zamiast trzech pełnowartościowych posiłków uczestnicy otrzymywali dwa zawierające w sumie niewiele ponad 1,5 tys. kalorii, a i to było modyfikowane, gdy chudli za wolno. Jednocześnie bez ograniczeń mogli korzystać z wody, czarnej kawy, gumy do żucia i papierosów. Ale mieli też obowiązek. Każdy z nich musiał pracować przez 15 godzin tygodniowo i odbywać długie spacery. Zdecydowana większość brała też udział w zajęciach przygotowujących do pracy humanitarnej.

W ostatniej części eksperymentu, nazwanej fazą rehabilitacji, skupiono się na metodach pozwalających na powrót do sprawności. Uczestników podzielono na cztery grupy, w których serwowano posiłki większe o 400-1600 kalorii dziennie od tych z fazy wyголоdzenia. Jednocześnie testowano wpływ różnych

suplementów witaminowych i proteinowych na dochodzenie do pełnej sprawności.

Najważniejszym elementem, który miał odróżniać warunki w eksperymencie od głodu w warunkach naturalnych, było przede wszystkim kontrolowanie innych zmiennych i możliwość dokładnego opisu stanu uczestników, którzy nie byli poddani stresowi ani wyniszczającej pracy fizycznej oraz chętnie współpracowali z naukowcami. Dbano też,

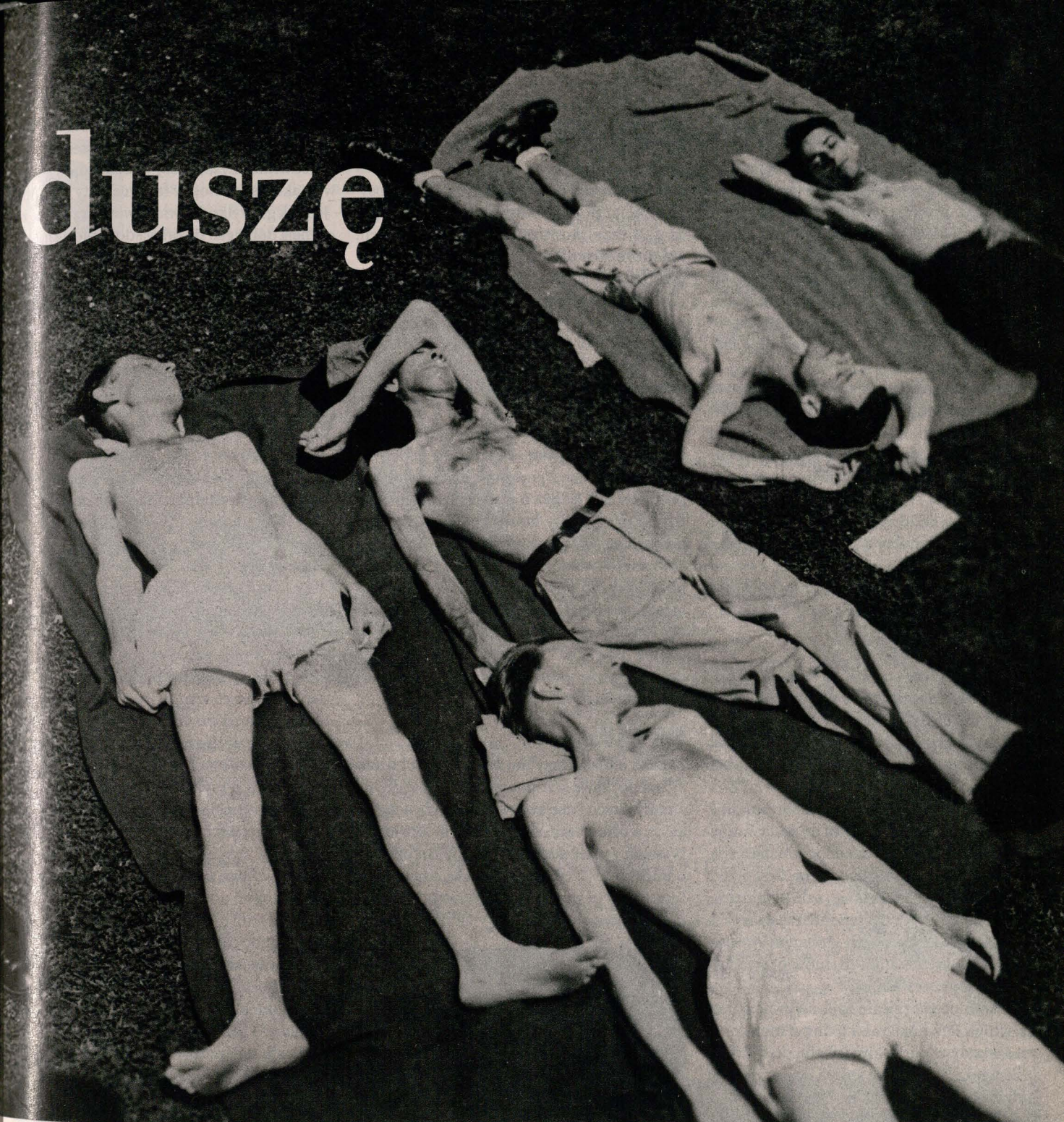
by nie pojawiły się niedobory witamin związane z kiepską dietą. Poza tym, że nie dojadali, żyli niemal zupełnie normalnie.

Świerszczyk z książki kucharskiej

W okresie sześciomiesięcznego wyголоdzenia waga uczestników spadła średnio o niemal 25 proc., a wzrost o jedną trzecią centymetra. Drastycznie spadła ich sprawność fizyczna. Wydolność u niektórych zmniejszyła się aż

o 91 proc. Co ciekawe, średnia temperatura ciała mężczyzn obniżyła się do poniżej 36 stopni Celsjusza, a ich tętno spadło średnio o 20 uderzeń na minutę. Serca uczestników zmniejszyły się średnio o 17 proc. Garściami wypadały im włosy. Pojawiła się głodowa opuchlizna.

Eksperyment potwierdził, iż wyголоdzenie poprawia słuch. Innym istotnym odkryciem było to, że mężczyźni – podobnie jak chorzy na anoreksję – nie potrafili właściwie



→ ocenić własnego wyglądu. Cały czas myśleli, że jest normalny, a jednocześnie zaczęli postrzegać osoby wokół jako otyłe.

Równolegle pogarszał się ich stan psychiczny. Pierwszą „ofiara” głodu był popęd seksualny, który niemal całkowicie zniknął u większości z nich. Rolę „dziewczyn z plakatu” wkrótce zaczęły pełnić zdjęcia z książek kucharskich, które mężczyźni zaczęli kolekcjonować i traktować z wielką nabożnością. Te fotografie nabrały dla nich w zasadzie charakteru pornografii.

Jeszcze wcześniej pojawiły się koszmary. Często powracającym motywem tych snów był kanibalizm. Z ich powodu – po trzech miesiącach – odpadł pierwszy z uczestników, który zaczął oszukiwać podczas wyjść i opychać się wszystkim, co tylko mógł zdobyć. Przestał chudnąć, przyznał się do oszustwa i został usunięty z TGSE. Keys wprowadził wówczas system kontrolowanego wychodzenia – żaden z uczestników nie mógł sam opuścić laboratorium.

Waga altruizmu

Ochotnicy, którzy przyszli do Keysa, by zmniejszyć świat, zaczęli tracić zainteresowanie wszystkim, co działo się na zewnątrz. Ich perspektywa ograniczała się do kolejnego posiłku. W dziennikach ważniejszą pozycją był wynik ważenia, niż Dzień Zwycięstwa. Znaczące było też coraz mniejsze zainteresowanie zajęciami przygotowującymi do pracy humanitarnej. Pojawiła się wszechogarniająca apatia. Z jednym wszakże wyjątkiem. Gdy przedmiotem zajęć było jedzenie, sala była pełna, a liczba zadawanych pytań zadziwiała wykładowców. Jedzenie stało się głównym i w zasadzie jedynym tematem rozmów prowadzonych przez uczestników.

Uczestnicy zaczęli się zachowywać coraz dziwniej. Pewnego razu jeden z nich, podczas wizyty w pobliskim lokalu, do którego przychodzili, by wypić kawę i popatrzeć, jak ludzie jedzą, zauważył, że klientka zamówiła jedno z dań, które szczególnie lubili oglądać – kotlety wieprzowe. Z ciekawością obserwował posiłek, jednak gdy zobaczył, że kobieta nie zjadła wszystkiego, a na dodatek zostawiła na talerzu jeszcze sporą część deseru, wybiegł za nią i zrobił jej na ulicy dziką awanturę.

Pojawiła się też agresja. Zapalnym momentem było zwłaszcza oczekiwanie na posiłek. W kolejce złożonej z samych pacyfistów dochodziło do bójek i awantur. Zaczęli oszukiwać. Między innymi jeden z uczestników przyznał się do jedzenia śmieci i wszystkiego,

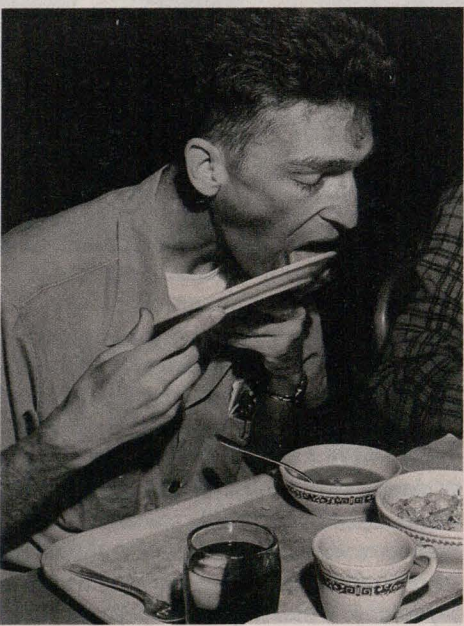
co był w stanie znaleźć na ulicy oraz połknąć na tyle sprawnie, by towarzyszący mu kolega nic nie zauważył.

Kolejne drastyczne pogorszenie stanu psychicznego uczestników zauważono na początku fazy „kontrolowanej” rehabilitacji. Jeden z uczestników (figuruje w raporcie jako Obiekt 20) postanowił się samookaleczyć, by zakończyć swój udział w eksperymencie. Mężczyzna za pomocą toporka odciął sobie trzy środkowe palce lewej ręki. Jednak, gdy poinformowany o wszystkim Keys dotarł do szpitala, błagał go o możliwość pozostania w TGSE.

32 uczestników, którzy dotrwali do ostatniego dnia głodówki, oczekiwało, że będzie to równoznaczne z powrotem do normalnych posiłków. Tak jednak nie było. Zostali podzieleni na cztery grupy, którym nadal wydzielano pożywienie, jednocześnie niektórym podając suplementy witaminowe oraz proteinowe. Zaobserwowano wówczas nieskuteczność tych ostatnich oraz ścisłą korelację pomiędzy liczbą otrzymywanych kalorii a tempem dochodzenia „do siebie”. To zresztą skłoniło Keysa do zmiany pierwotnych założeń i podniesienia wartości posiłków.

Głód bez buntu

Lepsze jedzenie szybko zaczęło przekładać się na poprawę stanu uczestników. Jednym z pierwszych przejawów zmian była petycja, którą wystosowali, domagając się likwidacji systemu wzajemnej kontroli. Początkowo im odmówiono i zaakceptowali taką odpowiedź. Jednak po pewnym czasie powrócili do żądania, grożąc buntem. – Głodni ludzie



bezmyślnie słuchają rozkazów – komentował Josef Brožek, pochodzący z Czech współpracownik Keysa, który przed wojną pracował jako psycholog w fabryce Baty w Zlinie. – Jednak gdy tylko ich właściwie nakarmisz, zaczynają domagać się prawa do samostanowienia – dodawał. Keys uległ żądaniu badanych.

Oprócz wiedzy istotnej dla lekarzy oraz pracowników organizacji humanitarnych, którą wyniesiono z eksperymentu, TGSE pokazał, że sam niedostatek pożywienia, nawet gdy nie towarzyszą mu dodatkowy stres lub zagrożenie utratą życia, wywiera niszczący wpływ na ludzką zdolność współpracy.

Również wtedy, gdy dotyczy dorosłych i nieźle wykształconych ludzi – bo takimi byli uczestnicy eksperymentu – szybko niszczy zdolność samodzielnego myślenia. Zabija też zainteresowanie wszystkim, co nie jest jedzeniem.

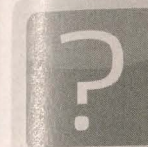
Potwierdzenie jego słów da się zaobserwować w zasadzie wszędzie tam, gdzie głód był narzędziem inżynierii społecznej. Wyniki, które uzyskał Keys, pozwalają wytłumaczyć bierność społeczności skazanych na wyniszczenie, dla których bunt mógłby być jedyną szansą na przetrwanie. Degradujący wpływ niedożywienia powoduje apatię jednostek, a przez to i całych grup, stając się skutecznym narzędziem dla tych, którzy chcą złamać społeczny opór. Przykładów nie brak. Tak było choćby w okresie wielkiego głodu na Ukrainie, w obozach koncentracyjnych i gettach III Rzeszy. Tak jest i w Korei Północnej.

Socjologowie zajmujący się społecznymi przemianami od dawna wskazują, że ludzie nie są skłonni do buntu, kiedy ich podstawowe potrzeby nie są zaspokajane. Dopiero zaspokojenie ich pozwala na wyjście z bierności i podjęcie starań o spełnienie innych potrzeb, takich jak samostanowienie czy sprawiedliwość społeczna.

Wnioski nie tracą swojej aktualności i dziś. – Prawdziwej demokracji nie mogą zbudować głodni ludzie – powtarzał dr Ancel Keys. To obala przekonanie, że pomagać można tylko tym, którzy potrafią stworzyć sprawne instytucje państwowe. Jest dokładnie odwrotnie. Nie da się zbudować sprawnego samorządu, opartego na głodnych ludziach. Działająca demokracja wymaga, by byli oni syści.

I dotyczy to nie tylko pogrążonych w biedzie krajów Południa, ale też tych państw rozwiniętych (jak Polska), w których podstawową troską i wyzwaniem dla znacznej części społeczeństwa jest to, by zapewnić sobie i najbliższemu minimum konieczne do egzystencji.

TEŻ PYTANIE



Ten, kto pyta, nie błądzi. A my szukamy odpowiedzi na wasze pytania. Nadsyłajcie je na adres: nauka@przekroj.pl. Co tydzień przyznajemy nagrody!

JOANNA OMORSKA



Monatnik - Eastcott/CORBIS

1. Co zebrom dają paski?

Na zebraw po prostu mucha nie siada. Z eksperymentów przeprowadzonych ostatnio przez węgierskich i szwedzkich naukowców (opublikowanych przez BBC) wynika, że czarno-białe paski są niewidoczne dla much, w przeciwieństwie na przykład do jasnego, ale jednolitego umaszczenia koni.

Alle zebry żyjące na otwartych przestrzeniach są narażone na ataki drapieżników. Powinny więc mieć maskujące kolory sierści, wtapiające je w tło. Przecież np. antylopy mają barwę brązową, taką samą jak uschnięta trawa na terenach wypasu. Dlaczego

więc zebry są inne i rzucają się w oczy? Wyjaśniając ten dziwny fakt teoria mówi, że gdy te zwierzęta uciekają w stadzie, ich czarno-białe paski zlewają się ze sobą – drapieżnik ma zatem trudności w rozpoznaniu pojedynczej sztuki. Widząc wszystkie razem jako przesuwającą się w szybkim tempie plamę, nie może wypatrzyć zwierzęcia młodego, słabszego czy chorego, które w przypadku stada antylop z pewnością wytypowałby na swoją ofiarę. Paski u zebra chronią więc słabsze osobniki i zmniejszają szansę ataków wroga.

2. Kiedy zaczęto stosować gips do leczenia złamań?

Usztynianie złamanych kości stosowano już od starożytności. Popularne były wówczas łupki, złamane kończyny zawijano w bandaże nasączone usztyniaczami (krochmalem, żywicą czy woskiem). Nowatorska metoda opatrywania złamań tkaniną pokrytą białkami jaj i wapnem pojawiła się w Arabii (trudno dokładnie ustalić kiedy) i stamtąd w XVII w. przywędrowała do Europy. Z kolei dzisiejszy gips, czyli tzw. opatrunki gipsowe (tj. opaski z gazy bawełnianej nasączone gipsem pół-



wodnym), zaczęto w medycynie stosować w XIX w. I tylko 100 lat wystarczyło, by zaczął odchodzić do lamusa, bo na rynku pojawiły się opaski polimerowe.

3. Dlaczego z wiekiem coraz trudniej nam schudnąć?

Naturalnym procesem starzenia się jest m.in. zmniejszanie się pojemności płuc i ograniczenie sprawności fizycznej. Mniejsza zawartość tlenu w organizmie to jeden z najbardziej istotnych czynników obniżających przemianę materii. Im więcej mamy lat, tym bardziej zapotrzebowanie na składniki odżywcze spada – czego często nie chcemy zauważyć. A dostarczając tę samą liczbę kalorii, co np. 10 lat wcześniej, nie jesteśmy w stanie ich spalić, bo obniża się nasza sprawność fizyczna. Oczywiście czynników wpływających wraz z wiekiem na naszą wagę jest o wiele więcej



– często mamy na przykład pewne uwarunkowania genetyczne, preferujemy niezdrowy styl życia, rezygnując z dobrej jakości jedzenia, lub po prostu jesteśmy mało aktywni.

Nasze nagrody:

Mary Roach „Bzyk. Pasjonujące zespolecie nauki i seksu” oraz „Duch. Nauka na tropie życia pozagrobowego” – wydawnictwo Znak; Gary Marcus „Prowizorka w mózgu” i Richard E. Nisbett „Geografia myślenia” – wydawnictwo Smak Słowa



REKLAMA

Fundacja Warszawskie Hospicjum dla Dzieci opiekuje się nieuleczalnie chorymi dziećmi w ich własnych domach. Hospicjum istnieje dzięki wsparciu ludzi, którym bliski jest los ciężko chorych dzieci. Przekaż 1% podatku dzieciom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci.

KRS: 0000097123

Fundacja
Warszawskie
Hospicjum dla Dzieci



Twój 1% - mój powrót do domu

www.hospicjum.waw.pl



Niewolnicy światła

Opowieść o przemocy seksualnej w irlandzkich szkołach i poprawczakach prowadzonych przez Kościół oraz organizacje katolickie

GRZEGORZ JANKOWICZ

W 1904 r. na łamach „The Irish Homestead Journal” ukazało się krótkie opowiadanie Jamesa Joyce’a pt. „Siostry” (jego zmieniona wersja weszła do wydanego dziesięć lat później zbioru „Dublińczycy”). Dziewięcioletni narrator próbuje zrozumieć, dlaczego śmierć wielkiego Jamesa Flynna, jego intelektualnego i duchowego mentora, wywołuje

w nim uczucie ulgi. Przysłuchuje się rozmowom dorosłych, z których wynika, że książka miała jakiś sekret, który niby wszyscy znają, ale nikt nie mówi o nim wprost. Jednak aluzje są bardzo czytelne. Z półstówek i urwanych zdań wyłania się obraz zdeprawowanego księdza, który krzywdzi ufające mu bezgranicznie dziecko. „Takie znajomości” – mówi jeden z bohaterów – „nie wychodzą dzieciom na dobre. Ja uważam, że młodzi powinni przestawać i bawić się

z młodymi, a nie z...”. Na dokończenie tego zdania Irlandczycy musieli czekać blisko 70 lat.

Sieroty, wyrzutki, włóczędzy

Zmowę milczenia przerwał aktor i performer Gerard Mannix Flynn. Jako nastolatek trafił do szkoły przemysłowej w Letterfrack, którą od końca XIX w. kierowali Bracia w Chrystusie (katolicka organizacja). Spędził tam dwa lata.

„Nic do gadania” – fragmenty

GERARD MANNIX FLYNN

Przejechaliśmy przez Galway, zmierzając w stronę okolicznych wsi. Drogi były bardzo wąskie i kręte. Mijaliśmy niewielkie wioski, małe sklepy i gęste lasy. Ludzie stojący na polach i na poboczach drogi pozdrawiali nas. Brat machał im ręką. Po jakimś czasie też zacząłem odpowiadać na te pozdrowienia. Mówiliśmy niewiele. Zapytał tylko, z której części Dublina pochodzę, ile mam rodzeństwa i czy moi rodzice żyją. Odpowiedziałem, a potem siedział cicho. Nie mogłem mówić. Dziwnie się czułem, siedząc w aucie z nieznanym człowiekiem, jadąc w nieznane sobie miejsce. W głowie kotłowały mi się przerażające myśli. Przez przednią szybę widać było wysokie góry. Pięły się coraz wyżej, aż wreszcie na krótko zniknęły mi z oczu. Wyłoniły się zza następnego zakrętu, jakby za sprawą magicznej sztuczki. Zbliżały się do nas coraz bardziej. W pewnej chwili wydawało mi się, że mogę ich dotknąć. Przejechaliśmy przez most. Brat poprosił, bym przyjrzał się zboczowi wielkiej góry. – Któż? – zapytałem. – Też – odparł brat, wskazując palcem.

Zobaczyłem gigantyczny pomnik Jezusa, a nieco niżej zamek. Brat zatrzymał auto, żebym mógł się lepiej przyjrzeć. Wiedział, o czym my-

śle, więc zapytał, jak ten pomnik się tam znalazł.

– Musiał go wciągnąć jakiś dźwig – odparłem.

– Zastanów się James – ponaglił mnie brat.

A może to cud, pomyślałem, ale bałem się powiedzieć to na głos.

– Nie wiem – odparłem. – Musiał być tam od zawsze. Zaczął się śmiać. Czułem się jak kompletny matoł, ale nie dałem tego po sobie poznać.

Przejechaliśmy przez drogę, na poboczu której zobaczyłem znak, ale nie udało mi się go przeczytać.

– Jesteśmy na miejscu. Oto Letterfrack – powiedział brat.

Gdy samochód dojeżdżał do małej wioski, serce zaczęło mi walić z podniecenia i strachu. Po prawej były sklepy, po lewej pub. Nim przyjrzałem się okolicy, auto skręciło w lewo w wąską drogę. Przez drzewa przebiegał widok dużego białego budynku. Skreśliłem w prawo, przejechaliśmy przez dwie bramy i dotarliśmy na dziedziniec.

– Witaj w Szkole Świętego Józefa – powiedział brat McCann.

Auto zatrzymało się w pobliżu stojących rzędem, niskich, pomalowanych na biało budynków z małymi oknami. Brat wysiadł z samochodu. Kazał mi iść za sobą. Położył mi rękę na ramieniu i wprowadził mnie do pierwszego budynku. Popchnął dwuczęściowe drzwi – góra się

otworzyła, ale dół ani drgnął. Wsadził rękę do środka i przesunął rygiel. Odsunął nogą dolną część i weszliśmy do środka. Były tam łady, kilka krzesel, piecyk, a na ścianach święte obrazki. Na kamiennej podłodze przy ścianie stały pudła. Przez małe okno wpadało do pomieszczenia słabe światło. Brat McCann włączył lampę, wszedł za kontuar i zaczął czegoś szukać. Próbował otworzyć sejf, ale chyba był zamknięty. Powiedział, że musi na chwilę wyjść, i kazał mi zostać tam, gdzie stałem. Poszedł sobie, a ja stałem jak wryty. Wszystko trwało w bezruchu prócz moich oczu i zegara z półki za ladą.

Wrócił po chwili z jakimś starym bratem, który trzymał w dłoni pęk kluczy. Stary powoli wszedł za kontuar, zbliżył się do sejfu, otworzył go, wyciągnął ogromną księgę, a potem położył ją na blacie. Brat McCann podał mi dokumenty, które dostał od policjanta w Galway. Stary sięgnął do kieszeni po okulary. McCann zapytał mnie, czy chciałbym oddać coś na przechowanie. W sejfie takie rzeczy są bezpieczniejsze. Oddałem mu zapalki, fajki, pieniądze i powiedziałem, że to wszystko, co mam. Przeliczył pieniądze i położył je na blacie. Stary wpisywał do wielkiej księgi informacje z dokumentów. Gdy skończył, zapytał mnie, czy mam jakieś znaki szczególne i czy byłem kiedyś w szpitalu. Odparłem, że tak – raz

z wysypką, drugi raz, gdy dostałem w głowę grudą węgla. Ani razu na mnie nie spojrzął, cały czas skrobał coś w książce. Brat McCann poprosił starego, by zabrał mnie później do krawca i szewca. Rzucił jeszcze w moją stronę, żebym był grzecznym chłopcem, i wyszedł.

Stary skończył pisać, zamknął księgę, schował ją w sejfie razem z pieniędzmi i dokumentami, które przekazał mu brat McCann, a potem zamknął sejf, wykonując każdą z tych czynności jak gdyby w zwolnionym tempie. Ale zapomniał o fajkach. Leżały sobie na kontuarze obok zapalek. Nie schował ich do sejfu. Myślałem, że dostanę je z powrotem. Byłem pewien, że bracia pozwalają palić na terenie ośrodka. Obserwowałem, jak stary powoli wychodzi zza łady, zbliża się do mnie i kładzie rękę na mojej głowie. Sprawiał wrażenie, jakby się miał przewrócić. Drugą ręką sięgnął po fajki oraz zapalki i, nim się obejrzałem, schował je do kieszeni. To musiał być najszybszy manewr, jaki ten stary kutas kiedykolwiek wykonał.

Starannie zamknął biuro i zaprowadził mnie do szewca. Gość, który tam pracował, zapytał mnie, jaki mam rozmiar buta. – Chyba piątkę. – Stał za masywnym stołem zawałonym półbutami i trzewikami. Był niski i krępy, z szyi zwisał mu fartuch. Rozejrzałem się wokół. Kilku chłop-



David Gray/DEMOTIX

Instytucja szkoły przemysłowej powstała z myślą o tzw. trudnej młodzieży – sierotach, wyrzutkach i włóczęgach, z którymi państwo nie potrafiło sobie poradzić. W całej Irlandii utworzono ośrodki wychowawczo-opiekuńcze, w których młodzi ludzie mieli być poddawani resocjalizacji. W rzeczywistości szkoły – prowadzone najczęściej przez Kościół i organizacje religijne – pełniły funkcję zakładów karnych o zastraszonym rygorze, w których dzieci były wykorzystywane jako tania siła robocza, padając często ofiarą przemocy i molestowania seksualnego. Mechanizm karny działał błyskawicznie. Każde dziecko, przeciwko któremu wysunięte zostało oskarżenie (często błahostka), trafiało do sądu dla nieletnich, gdzie na podstawie zeznań prawnych opiekunów, inspektorów szkolnych i nauczycieli decydowano o jego losie. Wyrok skazujący oznaczał kilkuletni pobyt w zamkniętej placówce wychowawczej. A tam mogło się wydarzyć wszystko.

jąc i rozmawiając ze sobą. Unikałem ich świdrujących spojrzeń. Rzuciłem tylko okiem, gdy weszliśmy do środka. Najstarszy chłopak siedział przy maszynie do szycia. Na chwilę przestał pracować, żeby mi się przyjrzeć. Jakiś wysoki mężczyzna stał przy oknie. Nie wiem, czym się zajmował, ale podszedł do starego brata i uściśnął mu dłoń. Przemknęło mi przez myśl, że to musi być brat szewca, bo ten też miał na stopie wielki but. Gość od maszyny wstał, żeby coś zrobić. Zauważyłem, że ma garb na plecach. Zakreśliło mi się w głowie. Może właśnie to się tutaj robi, pomyślałem, chodzi się za karę z garbem na plecach.

Krawiec zdjął miarę. Stałem nieruchomo, gdy mierzył mi długość nogawek. Poczułem dotknięcie taśmy i pomyślałem, że to jeden z tych świntuchów, którzy kuszą dzieci słodyczami, a potem wywożą je za miasto i zabijają. Nie miałem pojęcia, co tam robią, ale czułem, że to musi być coś srogo. Nie mogłem się uwolnić od tego uczucia, a w pobliżu nie było ani matki, ani ojca, nikt nie mógł mi pomóc. Nie chodzi o to, że wyglądał na złośliwego. Chodzi o to, że nikt mnie tam wcześniej nie dotykał i wiedziałem, że to nie jest dobre.

Po wszystkich wyszliśmy z bratem na zewnątrz. – Chodź za mną – powiedział. Zeszliśmy po schodach na przestronny dziedziniec, potem przez jedne drzwi po lewej i jeszcze jedno, aż dotarliśmy do łazienki. W pomieszczeniu było lodowato, kamienne ściany i podłoga potęgowały to wrażenie. Z niektórych

pryszniców ustawionych po obu stronach łazienki kapłała woda. Brat kazał mi się umyć. Ściągałem ubranie, próbując się nim zastaniać. Od czasu do czasu spoglądałem w stronę brata, żeby sprawdzić, czy na mnie patrzy. Modliłem się, żeby wyszedł z łazienki, zanim ściągnę spodnie, ale ani drgnął. Szukałem ręcznika, ale nie było. Powoli zsunąłem spodnie i trzymając je w jednej ręce, zastaniałem sobie przyrodzenie. Brat kazał mi wejść pod prysznic. Stałem pod kranem, zastaniając się, jak puścić wodę. Stopy mi marzły od kamiennej posadzki kanału, do którego spływała woda.

– Przepraszam, ale nie ma wody – zawołałem.

Stary patrzył na mnie przez chwilę, po czym podszedł do prysznica i pociągnął za sznurek. Od razu popłynęła woda, którą wyszorowałem całe ciało. Zrobiło się przyjemnie i ciepło. Para wypełniła całą łazienkę, tak że już nikt nie mógł mnie zobaczyć, nie mogli się gapić na moje przyrodzenie. Marzyłem o tym, by stać tak całą wieczność, ale nagle woda przestała lecieć. Poczułem zapach ręcznika, który podał mi brat. Wycierając się, rozniosłem ten smród po całym ciecie. Brat kazał mi zostawić ubrania i pójść za nim. Owinąłem się ręcznikiem i ruszyłem w jego stronę, zastaniając się, co będzie z moimi rzeczami.

Zbliżały się wakacje. Na samą myśl o nich czułem narastające podniecenie. Innym też się to dzieliło. Space-

Znane są przypadki śmiertelnych pobić, długotrwałego izolowania dzieci od rodziny, gwałtów i psychicznego znęcania się nad podopiecznymi.

Mimo doniesień na temat sytuacji panującej w instytucjach poprawczych przez kilkadziesiąt lat nikt nie interweniował. Milczeli przełożeni zakonów, milczeli hierarchowie Kościoła i państwowi urzędnicy, milczeli również rodzice dzieci, a wreszcie i one same – liczone w tysiącach ofiary niewyobrażalnej przemocy. „Wiedział rząd” – pisze Flynn – „wiedziała policja, wiedzieli duchowni i wierni, a jednak nikt nie nazywał rzeczy po imieniu. Bali się własnego wstydu, dlatego konspirowali, by zatłuszczać prawdę i zaprzeczyć, że coś takiego w ogóle miało miejsce”.

Zerwane śluby milczenia

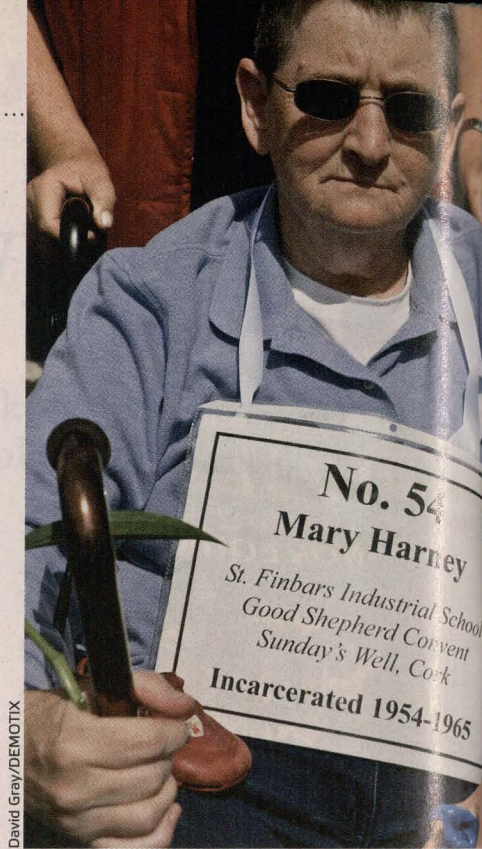
Na początku lat 80. Flynn pracował w Dublinie jako niezależny aktor. Pewnego dnia przechodząc obok kościoła, zauważył →

→ żebrzącego włóczęgę. Okazało się, że to jeden z „uczniów” szkoły przemysłowej w Letterfrack. Poprosił Flynna, by opowiedział innym o krzywdach, jakich doznali w ośrodku opieki. Tak powstała powieść „Nic do gadania”, historia 11-letniego Jamesa O’Neilla, który trafia do poprawczaka Braci w Chrystusie.

Książka ukazała się w 1983 r. i była jednym z pierwszych głosów na temat molestowania nieletnich przez duchownych. Po latach autor wspominał, że pisząc „Nic do gadania”, odczuwał ogromny strach, wiedział bowiem, że duża część irlandzkiego społeczeństwa odrzuci jego wersję wydarzeń. Obawiał się ataków ze strony organizacji katolickich i środowiskowego ostracyzmu. Ale odważył się wydać swą powieść, rzucając oskarżenie instytucjom i ludziom odpowiedzialnym za zbrodnie.

Potrzebna była jeszcze dekada, by temat molestowania seksualnego został podjęty przez uczestników debaty publicznej. Za-

palnikiem tej dyskusji była afera z udziałem popularnego biskupa irlandzkiego Eamon-na Caseya, który w 1992 r. musiał zrezygnować z pełnionej funkcji i opuścić kraj po tym, jak wyszło na jaw, że ma dziecko z pewną Amerykanką. Ci, którzy do tej pory byli zmuszani do milczenia, których przekonywano, że „nie mają nic do gadania”, zaczęli opowiadać o swych traumatycznych doświadczeniach. Minęło kolejnych dziesięć lat, zanim powołano kościelne i państwowe komisje do zbadania zbrodni duchownych przeciwko nieletnim. Raport z dochodzenia ukazał się w 2009 r. Mimo wstrząsających dokumentów, które zawiera, nie stał się podstawą postępowania karnego, a to dlatego, że sąd utajnił dane księży i zakonników zamieszanych w afery seksualne. Nieco bardziej skuteczne okazały się powództwa indywidualne, w wyniku których część oprawców została skazana za zbrodnie przeciwko dzieciom. Inni wciąż czekają na osądzenie, wielu jednak już nie żyje.



David Gray/DEMOTIX

10 czerwca 2009 roku, Dublin, Irlandia. Demonstracja mająca na celu rozpoczęcie debaty publicznej po opublikowaniu raportu z dochodzenia komisji do badania zbrodni duchownych przeciwko nieletnim (również na poprzedniej stronie)

Flynn powrócił do problemu w 2003 r. Opublikował wówczas sztukę „James X”, która opowiada o losach dorosłego już bohatera wcześniejszej powieści. Mężczyzna dochodzi swych praw przed irlandzkim sądem, rekonstruuje jednocześnie historię zapisaną w dokumentach, jakie przez lata gromadziły na jego temat instytucje wychowawcze. Wynika z nich, że z perspektywy państwa fakt jego istnienia jest całkowicie nieistotny. W oczach wychowawców, którzy sprzeniewierzyli się powierzonej im misji, James to „homo sacer”, wyrzutek, którego każdy może bezkarnie skrzywdzić.

Flynn udowodnił, że literatura potrafi skutecznie przeciwstawić się zinstytucjonalizowanej przemocy. Opowiedział prawdę, przyczyniając się do zatrzymania maszyny represji. Dziś, jako niezależny radny Dublina i działacz społeczny, walczy o sądowe rozliczenie wszystkich przypadków molestowania z udziałem duchownych i dzieci.

→ walizy wypchane naszymi rzeczami. Gdy wszyscy siedzieli już w środku, rzuciłem okiem na twarze chłopców, którzy zostali w internacie i wyglądali na zewnątrz przez szybę. Autobus ruszył. Pomachałem do Ry- anera i Keanera. Nie zareagowali.

Autokar minął główną bramę szkoły, a my zaczęliśmy pisać z radości. Wreszcie wolni w trzech wypełnionych po brzegi i pędzących w stronę Galway pojazdach. Każdy chłopiec ubrany był w odświętny strój: białą koszulę, szorty, czarne buty i szare podkolanówki. W naszym autobusie jechali bracia Michael i Byrne. Kazali nam siedzieć cicho na miejscach i nie szaleć, ale podniecenie wywołane powrotem do domu było silniejsze. Szybko zaczęliśmy nucić piosenki, a potem w najlepszym śpiewaliśmy na całe gardło: „Jedziemy przez las, przez las do Dublina...”. Darliśmy się cały czas, a gdy na chwilę przestawaliśmy, śpiew podejmowały dzieciaki z autobusu przed nami lub z tego za nami. Bracia pękali z dumy, bo ludzie, których mijaliśmy na poboczu drogi, w wioskach i miastach, uśmiechali się do nas i pozdrawiali słowami: „Niech Bóg was błogosławi”.

Położyłem głowę na oparciu fotela. Jadę do domu, jadę do domu. Rece zaczęły mi się pocić na samą myśl o tym, a w brzuchu czułem podniecenie. Wyobrażałem sobie, jak biegnę po schodach do mieszkania. Drzwi wejściowe są otwarte, wpadam do środka i krzyczę: „Co słyszałeś?”. Potem spotykam się z kumplami, są Doyle, Mucker i Bracken.

Zastanawiałem się, co powiem na mój widok. Wstrzymałem oddech, objąłem się rękami i ścisnąłem. Oczami wyobraźni widziałem frytki, jajka, bekon, coca-cole, chipsy... Mmm. Autobus dojeżdżał właśnie do Galway, a ja niemal czułem smak tych wszystkich rzeczy.

Przejechaliśmy przez miasto. Bracia klasnęli w dłonie. Kazali nam założyć płaszcz i uczesać włosy. Zrobiliśmy to dwa razy szybciej niż zwykle. Autobus dojechał do końca ulicy. Rozpoznałem dworzec kolejowy.

– Hej, jesteśmy na miejscu – krzyknąłem. – To dworzec.

Powiniem trzymać język za zębami. Wszyscy siedzieli mi teraz na głowie, wyglądając przez okno.

– Jezusie, to mi nie wygląda na dworzec kolejowy – powiedział ktoś głośno.

Cały autokar zamął, gdy usłyszeliśmy wrzask brata Michaela.

– Jeśli umiecie się zachowywać jedynie jak zwierzęta, autobus za chwilę zawróci do szkoły, zrozumiano? Siadać na miejscach.

– Tak, proszę brata – odpowiedziliśmy wszyscy, gdy autokar zatrzymał się przed dworcem. Nie ruszaliśmy się z miejsc, czekając na sygnał. Najpierw wywołali tych, którzy mieli przesiadkę na inne autobusy. Ci, którzy jechali do Dublina albo do miejscowości, w których zatrzymywał się pociąg, wychodzili później. Nadeszła nasza kolej. Pomaszzerowaliśmy prosto na pociąg. Bracia wskazali nam miejsca. Usiadłem obok Splintera Spillane’a i Chesty’ego Moore’a. Cze-

kaliliśmy na odjazd pociągu. Chesty obgryzał paznokcie.

Nagle w wagonie rozległ się warkot silnika. Pociąg zaczął oddalać się od stacji. Czułem jego potworną siłę, gdy dudnił kołami o tory, zmierzając w stronę Dublina. Patrzyłem, jak chłopcy kołyszają się na swoich miejscach. Jacyś ludzie przechodzili z wagonu do wagonu, chwytając się wszystkiego, co powstrzymywało przed upadkiem. Przez otwarte drzwi do następnego wagonu wdart się silny podmuch, który zmierwił mi włosy. Poczułem się jak Indianin ścigający wierzchem lokomotywę. Drzwi zatrzasnęły się, odcinając dopływ wiatru. Spojrzałem przez okno, chowając głowę. Za pociągiem pędził pościg Siuksów. Wyciągnąłem nogę pod stołem i trąciłem Splintera i Chesty’ego. – Co? – zdenerwował się Splinter.

– Indianie – powiedziałem szepem, żeby nie wystraszyć pozostałych pasażerów. Pokazałem palcem okno, nie wychylając się za bardzo. W sekundzie Chesty dobył swojego winchestera. Patrzyłem, jak kciukiem odciąga kurek, a potem ślini końcówkę lufy, w okolicach muszki, na szczęście. Gdy Splinter skończył ładować swoje dwa sześciostzałowe cacka, spojrzeliśmy na siebie. To był znak. Rzuciłem pierwszą łaskę dynamitu przez roztrzaskane okno. Bum, kilku Indianców zaliczyło glebę. Moi ludzie otworzyli ogień, posyłając w ich stronę serię za serią. Strzały świszczwały nam obok uszu. Splinter załatwił kolbą jakiegoś śmiałka, który uczeplił się okna, wymachując tomahawkiem.

Zrobił się niezły rozgwar, zaczęliśmy się napażać na poważnie.

– Aaa, dostałem! – krzyknął Chesty, chwytając się za bebechy.

Chłopcy siedzący z tyłu zaczęli się na nas gapić. – O co wam, do cholery, chodź?

– Indiańce, kretynie – rzucił Splinter, puszczając przez okno kilka serii ze swojego wyimaginowanego sześciostzałowca. Od razu dostaliśmy wsparcie marines stacjonujących na siedzeniu z tyłu. – OK, niech żrą to – rzucił ktoś, kto dowodził marines, z dziwnym dublińsko-amerykańskim akcentem. Tratatata, tratatata, słychać było karabiny maszynowe i pistolety domowej roboty, potem cichy świst i wybuch, ogień z moździerza. Krzyki, wrzaski i agonalne jęki. Do zabawy przyłączyli się ci, którzy siedzieli obok marines. Niektórzy rozkładali ramiona i udawali samoloty. Schodzili nisko i szybko, ale nie celowali w Indianców. Zanim zdążyłem kogokolwiek ostrzec, Luftwaffe rzuciło na marines tony bomb. Na szczęście nikt nie ucierpiał. Marines przystąpili do kontrataku, słysząc za plecami świst strzał, a przed sobą mając niemieckich pilotów kamikadze.

Chesty Moore walił w szkopów granatami, a Splinter, zwisając z siedzenia przed nami, wzywał przez radio posiłki. Jeszcze nie zdążył wypowiedzieć słowa, gdy w powietrzu rozległ się świst pocisku artyleryjskiego w postaci czarnego buta. Bezpośrednie trafienie w jeden z samolotów. To jest wojna, przemknęło mi przez myśl, gdy nurkowałem, żeby uniknąć

salwy charków i flegmy, które fruwały nad moją głową.

Teraz już każdy walczył na własną rękę. Zasłoniłem twarz walizką przed brudnymi melami, które leciały w moją stronę. Spod stołu, gdzie się nagle znalazłem, zobaczyłem bosą stopę, kuśtykającą przez przejście między ławkami. Nie miałem pojęcia, kto to był, ale musiał się utylać całą tą flegmą. Podniósł buta i uderzył nim pierwszego z brzegu chłopca, potem następnego. Wszyscy powychodzili spod stołów, żeby zobaczyć, o co było całe to zamieszanie i kto to w ogóle był. Okazało się, że koleżka, który rzucił butem, to brat Michael. Stał tam wściekły, całe ubranie miał uwalane flegmą. Widziałem złość na jego twarzy. Zanim zdołaliśmy zejść mu z drogi, eksplodował, sprzedając ciosy i kopniaki na lewo i prawo. Pociągnął mnie za włosy i popchnął na miejsce. Nagle ktoś krzyknął do niego: – Ty bucu! Nie wiem, kto to zrobił, ale wszyscy wyraźnie słyszeliśmy. Zapadła grobowa cisza, ogarnął nas strach. Zdawało się, że pociąg pracuje ciszej. Czekaliśmy. Brat Michael sięgnął po najbliższą stojącą chłopca. Uziemił Chesty’ego Moore’a między swoimi nogami. Chesty wrzeszczał z bólu. Słychać było odgłos pękającej kości, gdy brat Michael przyłożył chłopakowi w twarz. Krew trysnęła mu z nosa. Czułem, jak robię się biały na gębę. Podłoga wagonu robiła się czerwona. Przybiegli inni bracia. Brat Byrne mówił coś po cichu do brata Michaela. Ten ostatni wrócił na swoje miejsce, a Byrne załatwił się chłopakiem.



Gerard Mannix Flynn, „Nic do gadania”, przeł. G. Jankowicz, Korporacja Ha!art

REKLAMA



PONIEDZIAŁEK 2 kwietnia
Dodatek redakcyjny
Ważne zmiany dla kupujących mieszkania

oraz płyta z kursem
Warsztaty fotografii
– piękny portret i krajobraz

płyta z kursem
Photoshop
– efekty specjalne

WTOREK 3 kwietnia

Tylko z „Rzeczpospolitą”

Wydania z płytami dostępne w punktach sprzedaży oraz dla prenumeratorów Pakietu Plus.

RZECZPOSPOLITA  rp.pl/hity

Brak pytań o sacrum

Polskie kino na obecność religii we współczesnym świecie i życiu każdego z nas wydaje się głuche

JAKUB MAJMUREK

Rodzima kinematografia produkuje zarówno filmy hagiograficzne (o Faustynie Kowalskiej, Jerzym Popiełuszcze czy Karolu Wojtyle), jak i obrazy prowincjonalnej wspólnoty żyjącej pod czujnym okiem księdza plebana czy ojca detektywa. Od czasów „Dekalogu” Kieślowskiego brak jednak takiego kina, które na serio podejmowałoby pytania, jakie sta-

wiają sobie religie. Które byłoby w stanie odnieść je do życia człowieka tu i teraz, we współczesnej Polsce. Do wrażliwości ludzi na ogół – jak większość mieszkańców Zachodu – mniej lub bardziej „ześwieczonych” i „odczarowanych”, dla których ani religia, ani jej instytucjonalne wcielenia nie stanowią centrum życia.

Łaska boga, gest człowieka

Takie kino powstaje współcześnie w Europie Zachodniej, rzekomo, w przeciwieństwie do „katolickiej Polski”, religijnie obojętnej czy wręcz – jak czytamy w działach opinii prawniczych pism – religii aktywnie wrogiej. Bruno Dumont, bracia Dardenne czy Claire Denis stawiają widzom pytania, jakie zawsze stawiały sobie religie: o możliwość zbawienia, wyprowadzenia człowieka z okrutnego stanu natury, z „wojny wszystkim przeciw wszystkim”, o znaczenie sacrum czy etycznej treści chrześcijaństwa.

Żaden z tych filmowców nie określa się publicznie jako osoba religijna. Choć Dumont podkreśla, że tworzy kino „duchowe i poetyckie”, to zaznacza: „Moje historie są bardzo fizjologiczne i pozbawione jakiegokolwiek metafizyki – ona mnie nudzi. Bohaterowie raczej się pochylają, niż wznoszą wzrok ku niebu – bardziej niż transcendencję kontemplują wsobność rzeczy”. Ale paradoksalnie jego kino doszukuje się pytań stawianych przez religię, właśnie w tej „wsobności rzeczy”. Robi to w polemice z wielkimi mistrzami kina religijnego, takimi jak Robert Bresson.

Porównajmy sceny z „Mouchette” Bressona i „Hadewijch” Dumonta. W pierwszym odrzucona przez swoją społeczność młoda dziewczyna rzuca się do rzeki. Widzimy, jak tonie. Wydaje się, że nie ma dla niej ratunku – nagle jednak rozlegają się dźwięki „Magnificat” Monteverdiego. W filmie praktycznie pozbawionym muzyki brzmią one

niezwykle mocno, są znakiem, że być może mimo popełnienia przez dziewczynę śmiertelnego grzechu zadziałała zbawcza łaska boża. W drugim fragmencie młoda dziewczyna, uciekająca od świata do katolickiego zakonu, próbuje, jak Mouchette w rzecze, utopić się w przykaszczającym stawie. Od śmierci ratuje ją chłopak pracujący w klasztorze społecznie, w ramach wyroku, jaki otrzymał za bliżej nieokreślone przestępstwo.

U Bressona – wymagający aktu wiary ze strony widza akt łaski boga „nie z tego świata”, u Dumonta – etyczny gest zagubionego w życiu chłopaka, ratujący równie zagubioną co on dziewczynę. Pozornie w zakończeniu Hadewijch nie ma nic „religijnego”, wszystko rozgrywa się na poziomie relacji między dwójkiem ludzi, bez odniesienia do Boga. A jednak Dumont właśnie w tej „horyzontalnej” perspektywie spotyka się z problemami, z którymi od zawsze borykała się religia.

Kino to, w odróżnieniu od kina np. Tarrowskiego, bardziej niż nowym kinem religijnym należałoby nazwać kinem postsekularnym. Termin „postsekularyzm” odnosi się do nurtu we współczesnej filozofii, który zwraca się ponownie ku religii, po serii oświeceniowych odczarowań świata. Nie robi tego, by odwrócić efekty oświecenia. Postsekularni myśliciele zwracają uwagę, że nie da się całkowicie uciec od stawianych przez religię pytań – nowoczesność wyznacza nowe ramy do ich stawiania, ale nie jest ich w stanie unieważnić.

W perspektywie postsekularnej nie da się zrozumieć nowoczesnej epoki bez zrozumienia jej religijnych źródeł. I nie bez przyczyny wielu myślicieli lewicy (takich jak Slavoj Žižek czy Alain Badiou) fascynuje się chrześcijaństwem, dostrzegając w nim głęboką niezgodę na niesprawiedliwy i nieracjonalny kształt rzeczywistości społecznej,



„Mouchette”, reż. Robert Bresson, Francja 1967 r.

oraz potencjał do jej zmiany. Kino Dumonta czy braci Dardenne podąża w świecie filmu tą samą drogą.

Chrystus współczesny

Dumont debiutuje w 1997 r. filmem „Życie Jezusa”, którego tytuł nawiązuje do słynnej książki Ernesta Renana, klasycznego dzieła XIX-wiecznej historiografii. Renan badał życie Jezusa z Nazaretu tak, jak bada się życie każdej innej historycznej postaci. Film Dumonta nie opowiada jednak o historycznym Jezusie, ale o grupie nastolatków z małego miasteczka we Flandrii.

Młodzi ludzie niemający pracy całymi dniami włóczą się po mieście, jeżdżą na motorach, grają w bule, czasem uprawiają seks. W miasteczku pojawia się rodzina muzułmańskich emigrantów, wraz z nią młody chłopak. „Odbija” on dziewczynę jednemu z miejscowych wyrostków, ten go z zazdrości morduje. I właśnie w tym muzułmańskim imigranckim egzystującym na marginesie francuskiego społeczeństwa Dumont dostrzega współczesną figurę Chrystusa. Wykonuje odwrotny gest do gestu Renana: nie chodzi mu o odczarowanie historycznego Jezusa, ale o wskazanie, w jaki sposób chrystusowa figura niewinnej ofiary pozostaje

kluczem do zrozumienia współczesnej rzeczywistości społecznej i politycznej. I etycznym wyzwaniem do jej przemiany.

Podobna intuicja pojawia się w filmie braci Dardenne „Milczenie Lorna” (2008). Tytułowa bohaterka jest emigrantką z Albanii próbującą żyć w Belgii – dla uzyskania odpowiednich papierów wychodzi za narkomana. „Opiekuje” się nią mafia jej krajanów, która liczy, że „mąż” dziewczyny szybko umrze, a ona – dysponując prawem stałego pobytu w „europejskim raju” – będzie mogła dla nich świadczyć różnego rodzaju usługi. Lorna zakochuje się jednak w mężczyźnie, a przynajmniej spędza z nim (może w odruchu litości) jedną noc i zachodzi w ciążę. Mężczyzna wkrótce umiera z przedawkowania, jednak Lorna – wbrew naciskom „opiekunów” – pragnie zachować dziecko.

W ostatniej scenie kobieta uciekając przed ścigającą ją mafią, trafia do szopy w lesie. Trudno nie rozpoznać w niej współczesnego wcielenia stajni w Betlejem, a w kobiecie i jej dziecku – figury Świętej Rodziny, dla której „nigdzie nie było miejsca”. Dla braci Dardenne obraz ten nie ma ściśle „religijnego” sensu. Jest raczej wyrzutem sumienia wywołującym nas do działań na rzecz zmiany konkretnej rzeczywistości społecznej.

Polski postsekularyzm?

Czy tego typu tropy można odnaleźć we współczesnym kinie polskim? Z filmów nakręconych po 1989 r. na myśl przychodzi właściwie tylko „Przypadek Pekosińskiego” Grzegorza Królikiewicza. W ostatniej scenie filmu bohater – reprezentujący to, co marginalne, wyparte w polskiej kulturze – przyjmuje do swojego domu szukającą dla siebie miejsca współczesną Świętą Rodzinę. Pekosiński powtarza i potwierdza w ten sposób najbardziej podstawowy etyczny gest chrześcijaństwa.

Poza tym nasze kino na religię, na jej obecność w odczarowanym świecie, w życiu każdego z nas, zamieszkujących go nowoczesnych ludzi, wydaje się zaskakująco głuche. Gdy wchodziliśmy do Unii Europejskiej, nasi biskupi i prawnicy publicyści mówili o tym, jak Polska ma na nowo zewangelizować Europę. Jednak jak dotąd, przynajmniej w kinie, poważne podejście do religii gości na polskich ekranach wtedy, gdy zaimportujemy je sobie z „bezbożnej”, „zlaicyzowanej” Europy.

krytyka Jakub Majmurek
polityczna jest redaktorem wydawnictwa
Krytyka Polityczna

„Hadewijch”, reż. Bruno Dumont, Francja 2009 r.

EAST NEWS/ALBUM

WITOLD MROZEK

Dotacje na teatry w Polsce są systematycznie zmniejszane. Zadłużenie – powstałe w wyniku kolejnych redukcji budżetu – staje się argumentem przeciwko szefom artystycznym placówek, a nie przeciwko urzędnikom, którzy za tę sytuację są odpowiedzialni. To tylko jeden z problemów poruszanych w liście protestacyjnym, odczytywanym każdego wieczoru w kilku teatrach w Polsce i podczas Warszawskich Spotkań Teatralnych.

Jedną z ważniejszych imprez w kraju stała się miejscem zdecydowanego protestu, do którego dołączyli wszyscy reżyserzy prezentujący spektakle w głównym nurcie festiwalu – Mikołaj Grabowski, Jan Kłata, Wojtek Klemm, Marcin Liber, Wiktor Rubin, Weronika Szczawińska, Monika Strzępka, Paweł Wodziński, Michał Zadara. Jak mówią, występują przeciw

zakres wskazuje na rangę problemu oraz skalę społecznego sprzeciwu.

Władza w ręce menedżerów?

Najpierw był przeciek. W środowisku gruchnęła wiadomość, że dyrektorzy jednych z najważniejszych teatrów w Polsce – Krzysztof Mieszkowski z Teatru Polskiego we Wrocławiu i Jacek Głomb z Teatru im. H. Modrzejewskiej w Legnicy – mieliby zostać odwołani i, jak piszą sygnatariusze listu, zastąpieni „menedżerami ze świata biznesu”. Miałoby się to odbyć przez zmianę statutów tych instytucji i oddzielenie stanowiska dyrektora artystycznego od naczelnego, co jest drogą „na skróty” pozwalającą na uniknięcie bardziej skomplikowanej procedury odwoławczej. Nazajutrz ruszyła fala komentarzy sceptycznych względem pomysłu władz. Wskazywano, że w projektowanych rozwiązaniach dyrektor artystyczny byłby całkowicie pod-

– Empirycznie wykazano, że instytucje kultury, w których największy wpływ na decyzje mają zawodowi menedżerowie, cechują się mniejszą innowacyjnością i kreatywnością – mówią. I odsyłają do konkretnych publikacji, takich jak niedawna praca Hanny Trzeciak „Ekonomia teatru” czy przywołane przez nią artykuły, pochodzące raczej z prestiżowego „The Academy of Management Journal” niż z czasopism teatralnych. W cieniu Biura Kultury

Nieco inaczej ma się sprawa w Warszawie, drugim z miejsc, którym autorzy listu poświęcają największą uwagę. Metoda działania dyrektora Biura Kultury m.st. Warszawy Marka Kraszewskiego polega na odwołaniu do ostatniej chwili swoich postanowień. I tak ciągle nie wiadomo, kto będzie dyrektorem Dramatycznego w przyszłym sezonie.

– Dopiero po naszych protestach Kraszewski spotkał się z zespołem teatru i zapro-

– Scena, która na trzy miesiące przed końcem jednego sezonu ciągle nie ma dyrektora na kolejny, nie może przygotować planów repertuarowych ani zaprosić do współpracy reżyserów, którzy swoje terminy nieraz określają z rocznym wyprzedzeniem. Aktorzy nie mogą planować swojej zawodowej przyszłości – mówił na konferencji Paweł Miśkiewicz, odchodzący dyrektor Teatru Dramatycznego. Kimkolwiek zatem nie byłby nowy szef sceny w Pałacu Kultury, wejście w tę niełatwą rolę dodatkowo mu utrudniono.

Na każdą krytykę warszawscy urzędnicy odpowiadają w ten sam sposób: „Działamy zgodnie z prawem”. Jednak średnia jakość stołecznego życia teatralnego, na którą dość zgodnie wskazują krytycy, nie przemawia za trafnością decyzji Biura Kultury. Być może byłoby zupełnie inaczej, gdyby władze stałyby się bardziej otwarte na dialog społeczny w sprawach polityki teatralnej.

Przyszli czas zmian

Z kim urzędnicy mieliby się konsultować? Jak w całym polskim życiu społecznym również w teatrze problemem jest kryzys politycznej reprezentacji i niezdolność do zrzeszania się. Spora część środowiska teatralnego, zwłaszcza z młodszych pokoleń, nie ufa istniejącym strukturom związkowym i stowarzyszeniom twórczym.

Ale to się zmienia. Inicjatorzy listu zapowiadają powołanie nowego ciała, którego celem miałyby być branie udziału w merytorycznej debacie o polityce kulturalnej samorządów i monitorowanie ich posunięć. A na razie protestujący rozmawiają z istniejącymi organizacjami. W Teatrze Dramatycznym w Wałbrzychu powstała komórka związkowa – i to nie „Solidarności” czy Związku Zawodowego Aktorów Polskich, ale anarchosyndykalistycznej Inicjatywy Pracowniczej. Przewodniczącą organizacji została aktorka Agnieszka Kwietniewska. W Teatrze Polskim we Wrocławiu Michał Opaliński, również aktor i jeden z inicjatorów protestów, zachęca kolegów do wstępowania do już istniejących struktur związkowych. To o tyle ważne, że do tej pory ruchy protestu w „młodym” (jak mówią protekcyjni recenzenci i dyrektorzy) polskim teatrze



rys. Marek Raczkowski

ustawy o teatrach, Związek Artystów Scen Polskich spierał się z młodymi twórcami z Forum Obywatelskiego Teatru Współczesnego na temat funkcjonowania teatrów repertuarowych i konieczności reform. Dziś wszyscy zmuszeni są solidarnie bronić niekomercyjnego statusu teatrów, a nazwisko jednego z aktywniejszych działaczy FOTW Michała Zadary figuruje pod listem protestacyjnym obok nazwiska obecnego prezesa ZASP.

Nie tylko dla teatru

Sprawa, o którą walczą ludzie teatru, to nie tylko ich branżowy interes. Chodzi też o powszechne prawo do uczestnictwa w kulturze. Samorządowcy rzadko pamiętają, że mniejsza dotacja to wyższe ceny biletów. W efekcie nie tylko spada tak ważna dla urzędników frekwencja, ale także teatr na powrót staje się obszarem dostępnym wyłącznie dla zamożniejszych członków społeczeństwa.

„Teatr nie jest firmą, widz nie jest klientem” – piszą sygnatariusze listu z Warszawskich Spotkań Teatralnych. Za ich słowami stoi przekonanie, że to, co utrzymywane jest z publicznych pieniędzy, ma służyć społeczeństwu, a nie wypracowywać zysk. Ich działania wpisują się w szereg ruchów protestu, które walczą przeciwko finansjalizacji wszystkich obszarów życia – stosowaniu prostych finansowych wskaźników do przesądzania o „być albo nie być” szkół, szpitali, przedszkoli, młodzieżowych domów kultury, barów mlecznych czy komunikacji miejskiej. Konflikt wokół zarządzania teatrami to także kolejna odsłona problemów z polską samorządnością – znów okazuje się, że to władze niższego szczebla działają w sposób mniej transparentny i są bardziej odporne na dialog.

Minister kultury, w którym część protestujących upatruje sojusznika w sporze z samorządowcami, w sytuacji większości teatrów w Polsce nie

może ingerować bardziej, niż wydając niewiążące dla prezydentów i marszałków opinie. Sam zapowiada tylko, że będzie interweniował „w wyjątkowych przypadkach” przez wsparcie finansowe tych samorządów, które „nie z ich winy popadały w kłopoty finansowe”. Tu jednak potrzebne są systemowe zmiany, a nie doraźne łatanie dziur.

Aktorzy na barykadach

Kłopoty z pieniędzmi, trudności w komunikacji z władzą, lęk przed wymuszaniem mariażem sztuki z biznesem – taki stan trwa w polskich teatrach nie od dziś. Ale dziś właśnie artyści sceny postanowili głośno się mu przeciwstawić

zamienianiu scen publicznych w instytucje mające wytwarzać zysk, a także przeciwko arogancji władz samorządowych, które prowadzą większość polskich teatrów.

W ciągu kilku dni pod apelem podpisało się przeszło tysiąc przedstawicieli podzielonego zwykle środowiska teatralnego. Reżyserzy i aktorzy, pracownicy techniczni i dyrektorzy teatrów. Andrzej Wajda i Paweł Demirski, który w jednej ze swoich sztuk urządził mu sceniczny pogrzeb. Dyrektor warszawskiego Nowego Teatru Krzysztof Warlikowski i Teatru Żeromskiego z Kielc Piotr Szczerski. A także pierwsza minister kultury III RP – Izabella Cywińska i Olgiard Łukaszewicz, prezes ZASP. Przedstawiciele najróżniejszych estetyk, światopoglądów i kręgów towarzyskich, pokoleń i instytucji. Sowiecie opłacane gwiazdy seriali i młody teatralny prekariat, bez stałych dochodów i ubezpieczenia zdrowotnego. Tak szeroka koalicja nie może długo przetrwać – ale jej

legły menedżerowi i w praktyce nie mógłby prowadzić własnej polityki programowej. Ostatecznie do zmiany nie doszło, m.in. ze względu na sprzeciw ministra kultury.

Skrajnym przykładem skutków tego typu projektów jest sytuacja w teatrze Maska w Rzeszowie. Prezydent Tadeusz Ferenc w ramach międzypartyjnych targów obdarował tam dyrektorskim stanowiskiem działaczkę Platformy Obywatelskiej, przewodniczącą sejmiku i ekonomistkę – Teresę Kubas-Hul. Monika Strzępka, jedna z inicjatorek protestu, mówi: – Zbierając podpisy, kontaktowaliśmy się z ludźmi z teatru Maska. Boją się nas poprzeć, obawiają się o swoje miejsca pracy.

Jakie byłyby artystyczne skutki wprowadzenia w teatrach rządów menedżerów? Dyrektor Instytutu Teatralnego Maciej Nowak i reżyser Bartek Frąckowiak powołują się na badania prowadzone przez socjologów i ekonomistów.

nował dwa nazwiska kandydatów na nowego szefa, zobowiązując nas jednak do zachowania pełnej tajemnicy – mówi jeden z aktorów Dramatycznego.

A z szefem biura wielu woli nie zadzierać. Choć dyrektorów teatrów z całej Polski pod listem protestacyjnym podpisało się przeszło 40, są wśród nich prowadzący jedynie trzech z 19 miejskich scen stolicy: Dramatycznego, TR Warszawa i Nowego Teatru.

Marek Kraszewski, który pracuje w teatrze zaczął jako elektroakustyk, od lat 80. przechodził kolejne szczeble menedżerskiej kariery, m.in. w Teatrze Muzycznym w Gdyni i Teatrze Polskim we Wrocławiu. Może dziwić, że przy takim doświadczeniu zupełnie ignoruje nie tylko kwestie artystyczne – takie jak ryzyko eksperymentu, różnorodność i jakość propozycji repertuarowych warszawskich scen – ale i znacznie bardziej przyziemne sprawy, związane z organizacją pracy w instytucji.

Co po fabryce?



Artyści z Detroit namawiają Polaków: nie pytajcie, co wasze miasta mogą zrobić dla was, tylko co wy możecie zrobić dla miast

MACIEJ JARKOWIEC

Dziadostwo". Koszulkę z takim napisem ubiera młoda łodzianka, właścicielka małej firmy odzieżowej, jedna z bohaterek filmu „After the Factory”. Dokument wyprodukowali wspólnie artyści miejscy z Detroit i Łodzi. Wprawdzie te dwa miasta dzieli ocean, ale łączy je trudna postindustrialna rzeczywistość, a wielu ich mieszkańców ma podobne marzenia. Jak ujmuje to recenzentka „Time’a”, w swoich miastach chcą zobaczyć „ogrody zamiast chwastów, budynki zamiast ruder i odkupienie zamiast frustracji”. Wspomniana koszulka jest deklaracją: z dziadostwem będziemy walczyć!

Dziadostwo dołu

Film w lutym pokazywany był w Łodzi, Warszawie i Krakowie, wkrótce będzie go można obejrzeć w większości dużych miast w Polsce. Płynie z niego prosty przekaz: żeby „uru-

chomić” miasto, potrzebna jest wspólnota. Tworzenie takiej więzi czasami zaczyna się od patrzenia przez okno na zawalony dechami, gruzami i śmieciami pusty plac. Tak było w przypadku Detroit, miasta symbolu ery postindustrialnej, które w ostatnich dwóch dekadach, po upadku przemysłu motoryzacyjnego, straciło jedną trzecią mieszkańców. Wielokilometrowe kwartały opustoszały i zamieniły się w miejską dziczą – zarośnięte bujną zielenią domy, wieżowce i place. Mark Covington gapił się i gapił na jeden taki plac, aż postanowił go wysprzątać. Gdy wysprzątał, zaczął kombinować, co by tu zrobić, żeby ludzie znów tego placu nie zaśmiecali. Wykombinował, że posadzi warzywa.

Covington był jednym z pierwszych. Dziś małych miejskich farm są w Detroit setki. Dają mieszkańcom świeżą, ekologiczną żywność (na wielu z nich hoduje się też zwierzęta), pracę, poczucie wspólnoty. Wokół farm organizują się społeczności sąsiedz-

kie, sprzątane są kolejne zawałone place – już nie tylko pod grządki, ale też pod boiska do koszykówki, do baseballu albo po prostu pod ławki i trawniki. To paradoks.

John Gallagher, dziennikarz „Detroit Free Press”: – Jeśli patrzeć na wykresy, Detroit umiera. Dramatycznie zmniejsza się populacja, panuje ubóstwo, władze miejskie są bierno.

– Wszystko leży – zgadza się Philip Laurie, reżyser „After the Factory”. – Miasto już w kwietniu może być bankrutem (rozmiawialiśmy w lutym), mamy najgorsze w kraju szkoły publiczne, ludzie nie wierzą w nic. Ale te pulsujące w wielu miejscach inicjatywy dają kopę, zarażają optymizmem. Dla wielu ludzi sam fakt mieszkania w Detroit staje się „sprawą”, której się poświęcają. Zaleta miasta tak zdegenerowanego jest to, że można je tworzyć w zasadzie od zera.

Gdy pytam o wrażenia z pobytu w Łodzi, Laurie się nie zastanawia: – Szokiem był dla

mnie ogromny pesymizm. Choć miasto jest obiektywnie w lepszej formie niż Detroit, ludzie są o wiele bardziej sceptyczni, że cokolwiek da się z nim zrobić.

Dziadostwo przepędza

Pesymizm i bierność to nie tylko problem Łodzi.

Jadę taksówką przez Poznań. Kierowca z wprawą rajdowca omija slalomem dziury. – Ku...! – klnie przy tym soczyście. – Wydał prawie miliard na stadion i nie ma za co dróg naprawiać!

Do końca kursu pomstuje niecenzuralnie na rządzącego Poznaniem od 1998 r. prezydenta Ryszarda Grobelnego, ale gdy pytam, na kogo głosował w ostatnich wyborach samorządowych, macha ręką: – Na nikogo. Wszystko jedna banda!

W wielu polskich miastach prezydenci wybierani są na kolejne kadencje, czyli pozornie cieszą się niesłabnącym poparciem, ale pod powierzchnią bulgocze narastająca frustracja mieszkańców. – Proszę pamiętać, że ostatnio Grobelny wygrał głosami jednej szóstki uprawnionych – przypomina Lech Mergler, wiceszef stowarzyszenia My Poznaniacy. – Jego siła nie jest realna. Bierze się ze słabości społeczeństwa obywatelskiego.

Badania pokazują, że zaangażowanie obywatelskie w Polsce jest nie tylko słabsze od tego na zachodzie Europy, ale że nawet w porównaniu z innymi krajami postkomunistycznymi wypadamy błado. Bierność skazuje mieszkańców polskich miast na słabe elity władzy. Raz, że mają one wątpliwą legitymację, a dwa, że pozbawione obywatelskiego nadzoru robią, co im się podoba, i stają się skłonne do korupcji.

– Duszą Łodzi nie jest postindustrialna architektura – mówi w „After the Factory” Przemysław Górski ze stowarzyszenia Topografie, współproducenta filmu. – Dusza to ludzie.

Problem w tym, że dusza z Łodzi uchodzi. Według GUS miasto traci 6 tys. mieszkańców rocznie i trend ten jest najbardziej dynamiczny wśród młodych i wykształconych. Siostra autora tego tekstu w zeszłym roku przeprowadziła się z Poznania do Łodzi. Swoją decyzję wywołuje wśród łodzian albo zdumienie, albo politowanie. Pukają się w czoło. Kto by chciał przenosić się do tej dziury? – dziwiał się. Zupełnie nie mają poczucia wartości miejsca, w którym żyją.

– Gleba dla aktywności społecznej nie jest w Łodzi dobra – nie ma złudzeń profesor Andrzej Majer z Katedry Socjologii Wsi

i Miasta Uniwersytetu Łódzkiego. – Miasto ma cienką warstwę inteligencji, szybko się kurczy, na tle innych ośrodków wygląda biednie, targają nim polityczne konflikty, co przekłada się na ludzi. Nie widzę nurtu tworzenia wspólnoty.

Dziadostwo wścieka

„After the Factory” próbuje przekonać, że taki nurt jednak jest. Poznajemy młodych łodzian otwierających kawiarnie, sklepy z odzieżą, zakładających rockowe zespoły, działających w inkubatorach sztuki. Oni mówią dziadostwu stanowcze i radosne „nie”.

– To bardzo zaangażowani aktywiści, którzy świadomie łączą swoją przyszłość z Łodzią – stwierdza Łukasz Biskupski z Topografii, ale jednocześnie przyznaje, że bohaterowie filmu w łódzkim pejzażu okupują wąziutkie marginesy. Poza tym ich oferta nie dotrze do kilkunastu enklaw wielopokoleniowej biedy, których mieszkańcy nie mają pieniędzy, chęci i kompetencji, żeby z niej skorzystać.

Socjolożka Joanna Erbel na zorganizowanej w zeszłym roku we Wrocławiu konferencji „Miasto postindustrialne – problemy społeczne i perspektywy rozwoju” przestrzegała przed „lansiarstwą” wielu inicjatyw miejskich nacelowanych na elitarnie rozumianą kulturę i na wąską grupę odbiorców.

– Nie ma w nich miejsca na społeczną spójność. Kreatywna jednostka wchodzi, gentryfikuje i ma się z tym super – mówi. – To, że był warzywniak i nie ma warzywniaka, ale jest fajna knajpa z fajną cafe latte, nie ma znaczenia, bo i tak kreatywną jednostkę stać na śniadanie. Czas poszukać kultury życia codziennego, która nie jest związana z tworzeniem modnych obiektów.

„Topografie” próbują działać przeciw podziałom społecznym, wciągając mieszkańców „trudnych” dzielnic w gry miejskie, w których Łódź staje się żywą planszą rywalizacji kilkuosobowych zespołów. Takie i podobne akcje uruchamia wiele organizacji. Erbel wspomina choćby o inicjatywie „Sól” z Krakowa, gdzie w projekty artystyczne i edukacyjne włączone zostają drobne punkty usługowo-handlowe (sklepiki, dancingi, cukiernie, zakłady fryzjerskie i szewskie), które przetrwały transformację gospodarczą po 1989 r. i późniejszą gentryfikację.

Bierność mieszkańców powoli udaje się przełamać w Poznaniu. Działający od pięciu lat My Poznaniacy są uznawani za wzorcową obywatelską organizację miejską.

– Dokonali rzeczy wyjątkowej – mówił na wspomnianej konferencji Krzysztof

REKLAMA



SZCZECIN
MUSIC
FEST
2012



SPONSORZY

Deutsche Bank
UNITY LINE

GENERALI
Ubezpieczenia



WWW.SZCZECINMUSICFEST.PL

Dzień głupich poczuć



HANNA GILL-PIĄTEK

Autorka felietonu jest koordynatorką świetlicy Krytyki Politycznej w Łodzi

Policja sobie idzie, pójde i ja. Przypominam sobie atmosferę skłotu na Oranienburger StraÙe, gdzie dwa lata po upadku berlińskiego muru siedziałam wpatrzona w istną erupcję pokazów, instalacji, poezji czytanej przy ognisku na podwórku. Takie miejsca budowały tożsamość europejskich miast i dziś także są w nich silnie obecne. Na przykład w uporządkowanym do granic możliwości Oslo nikomu nie przeszkadzają Blitz ani Hausmania, byle skłoty z pracownikami i alternatywnym teatrem. Rozumiem, że nie wszystkim władzom mogą podobać się anarchiści. Nie wdzięczą się, nie chodzą w garsonkach przystrojonych sznurem barwionych rzecznych pereł zakończonym krzyżykiem. Nie mówią, że do zmiany stóp procentowych potrzebne jest natchnienie Ducha Świętego. Za to kiedy siedzą z tobą trzeci dzień w lesie przy minus dwudziestu trzech stopniach, zawsze podzielią się herbatą i dla rozgrzewki podyskutują o historii idei. A wiedzą naprawdę imponująco dużo. Kiedy ludzie z poznańskiego Rozbratu protestują przeciw osiedlom kontenerowym, to mają świadomość, o czym mówią, bo do takich miejsc w Polsce pojechali. W przeciwieństwie do władz Poznania, które tylko słyszały, że to efektywny sposób na dłużników.

Godzinę później jestem już w zupełnie innym miejscu. Wielka gala odbywa się w teatrze zagrożonym zamknięciem. Podobno repertuar dla zwykłego człowieka nieprzystępny – kwituje taksówkarz, podwożąc nas pod wejście. W środku panie w garsonkach i pięknych sukniach robią ostatnie poprawki w toalecie. Znowu głupio się czuję w rajtuzach w prążki i w sukience, choć to niby na tę okazję. Zapalić nie mogę, tu nie wolno. Wyższa kultura zobowiązuje. Za nami siedzi naczelny ważnego tygodnika. Uśmiecham się ślicznie, bo ostatnio tygodnik oparł się zamieszczaniu kryptoreklam Ministerstwa Rozwoju Regionalnego. I zaraz przestaję, bo przypominam mi się, że ta sama gazeta wynosi pod niebiosą genetycznie modyfikowaną żywność, uparcie unikając prezentacji jakichkolwiek odmiennych poglądów. Gra kwartet smyczko-

wy, który łączy muzykę z zenującymi wyglądem, pewnie na cześć posłanek PiS, twierdzących, że kultura powinna utrzymać się sama. Potem wychodzi na scenę minister.

Minister nie nosi barwionych rzecznych pereł, za to perliście opowiada o dwukrotnym zwiększeniu puli na zakupy nowości dla bibliotek. Wszyscy klaszczą, a ja czuję się debilnie, bo chyba jako jedyna pamiętam, że rok temu ten sam minister pozwolił znowu łączyć biblioteki z innymi instytucjami. Już kiedyś było to dozwolone i wtedy lawinowo zaczęliśmy wypożyczalnie, zwłaszcza wiejskie i gminne. Wciągały je domy kultury czy ośrodki sportowo-rekreacyjne. A potem potrzeba było kilku krzesełek na jakieś posiedzenie, gminy nie stać było na cały etat i tak biblioteka cicho umierała. Nie jedna, ale grubo ponad tysiąc. Teraz na pocieszenie bibliotekarze dostali program „Biblioteka+”, który jest tak skonstruowany, że do grudnia zeszłego roku nie udało się z niego nikomu skorzystać. Ale cięszę się, kiedy minister mówi o dodatkowych zakupach: lepszych 14 książek na sto mieszkańców rocznie niż dotychczasowych siedem.

Minister zasłania się karami. Małe gminy – brakiem funduszy. Władze Warszawy – jak zwykle dość swobodnie interpretowanym prawem. Ambitny teatr na progu likwidacji (czytaj: połączenia zgodnie z ustawą z inną instytucją) nie może zasłonić się właściwie niczym. Skłot czy inne alternatywne miejsca kultury mają w tym kontekście przerąbane, tak samo jak lokatorzy z ulicy Dzierżyby 12 w Warszawie, gdzie dwa tygodnie temu policja przyjechała osłaniać ochroniarzy bijących niechcianych przez kamienicznika mieszkańców. Ja zasłaniam się już tylko własną koldrą, bo znam od lat tę zabawę w rzut gorącym kartoflem. To nie my jesteśmy winni, to... (tu wpisujemy nazwę instytucji lub władzy, której przedstawiciele nie ma na spotkaniu, lub podajemy numer paragrafu). Leżę pod moją bardzo indywidualną koldrą i myślę, że odpowiedzialność to dopiero musi być naprawdę głupie uczucie. A dobra wola – jeszcze głupsze.

OK pa, lecę się napięprzać” – piszę do przyjaciela na Facebooku, bo właśnie dowiedziałam się, że znowu w Warszawie policja atakuje skłot. Piętnaście minut później jestem pod świeżo otwartym miejscem na ul. Skorupki, do którego przeniesli się skłotersi z Elby. Elba, mocny ośrodek niezależnej kultury działający od kilku lat w nielegalnie zajmowanym pustostanie, tydzień temu prawie przestała istnieć, dosłownie wypatroszona przez ochroniarzy. Udało się wytargować kilka dni na przeniesienie, ale ludzie poszarpano, a sprzęt zniszczono. Nowe miejsce na Skorupki, od poprzedniego przeznaczenia nazywane Przychodnią, zostało otwarte dopiero wczoraj. Były wegetariański obiad dla gości, konferencja, biegające psy i dzieci. Dziś stoi kordon policji, ubrany jak na święto lasu z paintballem w programie. Z tym napięprzaniem oczywiście grubo przesadziłam, bo wiek nie ten i właściwie jest po akcji: był już burmistrz Śródmieścia, który nie widzi biedy, coś powiedział o prawie, większość mediów pojechała. Ale na wszelki wypadek trzeba być, zawsze lepiej, kiedy jest paru świadków. Bez nich jakoś śmielej likwiduje się centra wolnej myśli, tak jak kiedyś zniszczono Le Madame. To też był koniec marca. No to ściskam w kieszeni legitymację prasową i stoję. Głupio się czuję w rajtuzach w prążki i w sukience. Zgodnie z instrukcją przebywania na skłotach, autorstwa innej Hani na literę G, karnie palę papierosa.

→ Nawratek, urbanista, autor książki „Miasto jak idea polityczna”. – Przeszli od logiki fragmentu do logiki miasta jako całości. Mogą być inspiracją dla innych ruchów miejskich.

My Poznaniacy jest czymś w rodzaju obywatelskiego gabinetu cieni. Stowarzyszenie ma program zarządzania i rozwoju miasta obejmujący w zasadzie wszystkie pola zagospodarowane przez ratusz – od polityki mieszkaniowej, przez transport, po edukację – i na każdym z nich prowadzi realne działania. – Powstałiśmy z buntu przeciw władzy – opowiada Lech Mergler. – Promowany przez Grobelnego ślepy pęd inwestycyjny, budowanie wieżowców w dzielnicach willowych czy niepohamowana deweloperka w klinach zieleni sprawiły, że ludzie poczułi się zagrożeni.

W dodatku bardzo różni ludzie. Bo „My” to zarówno biznesmeni, którym bez żadnych konsultacji przed domem z ogrodem ktoś postawił betonowe szkaradztwo, jak i żyjący od pierwszego do pierwszego zwykli poznaniacy z osiedli, którym spółdzielnia przez rok nie potrafi naprawić windy albo funduje dyskont w miejscu placu zabaw.

Mergler nazywa rządy Grobelnego i wielu innych miejskich włodarzy „softautorytarną demokracją paternalistyczną”.

– Ludzie mają siedzieć cicho, władza im wszystko zorganizuje, bo władza wie, co dla ludzi dobre – mówi. – Dodatkowo władza uprawia „partycypacyjną ściemę”. Przejęła hasła, idee i język partycypacji. Wszystko

niby jest konsultowane z mieszkańcami. Ale gdy się przyjrzeć, to albo debaty organizuje się w sprawach trzeciorzędnych, bo tam, gdzie jest prawdziwy konflikt, władza załatwia wszystko po cichu, albo konsultuje się po fakcie, albo po konsultacjach nie uwzględnia się opinii mieszkańców.

Przykłady?

– Zapytano ludzi, jak wykorzystać nowy stadion. Świetnie, tylko dlaczego nikt nie pytał ich wcześniej, czy go w ogóle chcą za 800 mln? Miał kosztować 300. Albo ostatnie cięcia w budżecie: zapytano ludzi, czego nie obcinać, a potem obcięto dokładnie tam,

„Problem w tym, że dusza z Łodzi uchodzi. Według GUS miasto traci 6 tys. mieszkańców rocznie

gdzie nie chcieli: w opiece społecznej i edukacji – wylicza.

Poznaniacy się organizują, bo wścieka ich takie dziadostwo.

Działaj!

Żeby „uruchomić” miasto, konieczne jest sprzężenie zwrotne. Z jednej strony obywatele sami, oddolnie, wykazują aktywność, co dyscyplinuje władzę. Z drugiej – instytucje odgórnie stymulują zaangażowanie mieszkańców, choćby zapraszając do prawdziwego, a nie pozorowanego dialogu.

Na mapie Polski można dostrzec miasta, gdzie to się udaje. Paweł Starosta, profesor z Instytutu Socjologii UŁ, wymienia Wrocław, Gdańsk czy Rzeszów.

To, że zaangażowanie popłaca i może wpływać na władzę, przekonuje sukces grupy łódzkich NGO.

– Przy okazji powstawania strategii rozwoju miasta wspólnie zorganizowaliśmy konsultacje z prawdziwego zdarzenia, z debatami i warsztatami angażującymi wiele środowisk – opowiada Łukasz Biskupski z Topografii. – Okazało się, że strategia zaproponowana przez ratusz nakierowana na inwestorów, a nie mieszkańców, nikomu się nie podoba. Pod naciskiem obywateli została zupełnie przepisana i oparta na filarach ekologii oraz zrównoważonego rozwoju.

W skali całego kraju potrzebne są jednak zmiany ustawowe, które wzmocniłyby obywateli kosztem włodarzy. Propozycje takich zmian przedstawi Kongres Ruchów Miejskich, koalicja kilkudziesięciu organizacji z całej Polski. Pierwszy raz zebrały się one w czerwcu 2011 r. w Poznaniu, drugi kongres planowany jest na jesień w Łodzi.

– Jestem optymistą – nie kryje Lech Mergler. – Nadchodzi przełom.

Gdy go słucham, przypomina mi się jeden z bohaterów „After the Factory” – Yusef Shukur, potężny Murzyn o tubalnym głosie, animator społeczny w swojej dzielnicy. To on, według łódzkiego aktywisty Michała Grudy, który ściągnął artystów z Detroit do Łodzi i wyprodukował z nimi film, wypowiada kluczową kwestię: – Nie ma co wiele pierdolić. Trzeba działać!

Cierpienie, pisanie, rozczarowanie

Podobne stwierdzenia nieco zaskakują w ustach pisarza, który zdobył rozgłos i zasłużone uznanie krytyki powieścią „Austerlitz” czy opowiadaniem „Wyjechali”. W nich bowiem kreślił melancholijny portret ludzi wygnanych ze swych krajów, doświadczających – jeszcze długo po dramatycznych doświadczeniach wojny – bolesnych skutków odniesionych wówczas urazów. Nikt lepiej niż on nie sportretował tego, czym może być żydowski los wojennego wygnania w uniwersalnej, ludzkiej perspektywie. Mało kto potrafił też pomieścić swoje wizje w formie tak spójnej, wyrafinowanej i przekonującej.

Czyżby Sebald dokonał nagłego zwrotu i z pozycji kosmopolitycznego współczucia przeszedł do obozu rewidującego odpowiedzialność Niemców za okropności II wojny światowej i domagającego się zadośćuczynienia za poniesione straty? Choć pokusa takiej interpretacji jest niemała (jeśli sądzić po głosach krytyki i recenzjach), trudno o bardziej mylny wniosek z lektury tej książki. „Wojna powietrzna i literatura” (przedstawiająca tekst wykładów Sebald w Zurychu w 1997 r.) nie jest bowiem głosem na rzecz pamięci o niemieckich cierpieniach, które miałyby balansować niemieckie winy, ale złożoną wypowiedź o najważniejszych relacjach między literaturą a społeczeństwem.

Przede wszystkim Sebald klarownie wyjaśnia, dlaczego właśnie od literatury oczekiwał zdania sprawy o horrorze powojennych bombardowań i dlaczego tak srodze się na niej zawiodł. To właśnie fikcja literacka może w sposób dotkliwy i fascynujący zarazem przekazywać zmysłowe szczegóły, materialne, społeczne i historyczne

„Naród niemiecki wyparł ze swojej świadomości historię alianckich nalotów na miasta III Rzeszy, a powojenna literatura niemiecka nie potrafiła oddać grozy doświadczenia, jakie było udziałem tego społeczeństwa”. Tak brzmi w telegraficznym skrócie teza zawarta w książce „Wojna powietrzna i literatura” W.G. Sebald



konsekwencje tak przerażającego i wyjątkowego doświadczenia, jakim były alianckie naloty. Nie musi się przy tym troszczyć o zachowanie dyplomatycznej wstrzemięźliwości ani spójności z ogólną ideologią. Sebald utyskując na literaturę swojego języka, sam – zarówno przez tekst, jak i zdjęcia – robi niemało, aby uzmysłowić zbiorowe cierpienie obłożonych miast, które wydaje się przekraczać ludzkie wyobrażenia. Zwraca też uwagę na nie tyleż ciekawe, ileż przejmujące paradoksy historii. Na przykład na to, że przy użyciu ludzkich trupów po bombardowaniu Drezna

w lutym 1945 r. pracowało komando SS, które wcześniej obsługiwało obóz zagłady w Treblince. Albo że nazistowskie władze, ozdabiające od samego początku swoją wojenną propagandę podniosłą muzyką, po wielu bombardowaniach puszczały przez radio te same utwory symfoniczne, które kiedyś sławiły triumf III Rzeszy.

Książka Sebald nie tylko kolejny raz dowodzi, jak wytrawnym jest on pisarzem, ale przede wszystkim odśladania jego zdolność precyzyjnej analizy i krytycznego oglądu. Dlaczego społeczeństwo niemieckie tak szybko zapomniało o tym, że w alianckich nalotach straciło wiele dużych miast i przeżyło rzeczy, o których trudno jest opowiedzieć? Czemu ruiny stały się kamieniem węgielnym propagandy nowych, pracowitych i nakierowanych na przyszłość Niemiec? Autor nie ma wątpliwości, że duża część tych działań podyktowana była nazistowskim wychowaniem i wpojonymi przezeń wartościami. Trzeba wydajnie pracować i być dumnym ze swojego narodu, cokolwiek by się nie działo. Doświadczenie bombardowań, które przede wszystkim łączy się z poczuciem krzywdy i wstydu, nie może znaleźć miejsca w tak wykreowanej mentalności. Dlatego wraz ze świadomością historycznej odpowiedzialności za wojnę musi zostać zamiecione pod dywan.

Literatura niemiecka nie zmilczała alianckich nalotów całkowicie, nie taki jest dokładnie zarzut Sebald. Chodzi mu raczej o to, że sposób, w jaki przedstawiali te wydarzenia powojenni pisarze, wskazywał wyłącznie na fakt nieumiejętności rzeczywistego skonfrontowania się z nimi. Uciekali się więc do różnego rodzaju estetyzacji, których ideologiczne uwikłanie autor w „Wojnie...” bezlitośnie eksponuje. Wzniosłe piękno masakry czy wojenne zniszczenia jako tło dla romantycznej miłości to klasyczne topoty nazistowskiej literatury, której podstawowym celem miało być usuwanie z pola widzenia politycznych i moralnych konsekwencji polityki III Rzeszy. Właśnie literatury zrywającej z tymi przyzwyczajeniami – rzeczowej, zainteresowanej detalem i adresowanej w równym stopniu do wyobraźni co do inteligencji – oczekiwał po swych krajanach Sebald. Jego rozczarowanie, wyrażone w wykładach tak wnikliwie i odkrywczo, stanowi rodzaj późnego rozliczenia z ojczyzną, z której wyjechał wiele lat wcześniej, ale której nie przestawał osądzać. Przy okazji to pasjonująca rozprawa pokazująca, że w literaturze każda decyzja formalna, każdy wybór tonu, bohaterów, konwencji czy historii jest w gruncie rzeczy wyborem etycznym. I za niego w pierwszej kolejności trzeba też sądzić pisarzy.



W.G. Sebald,
„Wojna powietrzna i literatura”,
WAB, 160 s.

BIBLIOTEKA MAŁEGO CZŁOWIEKA

Słodkie formy i foremki muzyczne

Zabawna książka o tym, jak łasuchom wyjaśnić menu filharmonii

Wyobraźmy sobie cukiernię o nazwie Melodia. Z klamką w kształcie klucza wiolinowego w drzwiach i sprzedawcą w fartuchu usianym czarnymi nutami. W jej menu m.in.: fuga drożdżowa, pleśniak sonatowy, rondo tortowe i wariacje korzenne...

Co ma wspólnego muzyczna fuga z drożdżową chałką? Warkocz chałki spleciony jest z trzech lub czterech pasków ciasta. A w utworze przepla-

tają się dwa, trzy lub cztery głosy. Drożdżami dla fugi, na których rośnie jak ciasto, jest pęczniący temat. Cukrem są kontrapunkty, jakimi – łączniki. Oto prosty przepis i na deser, i na ucztę muzyczną. Na przykład czterogłosową Fugę d-moll według tradycyjnej receptury Jana Sebastiana Bacha. Podaje go w swojej książce Anna Czerwńska-Rydel, absolwentka Wy-

działu Kompozycji i Teorii Muzyki gdańskiej akademii.

Równie dobrze skomponowane są tu ilustracje. Katarzyna Bogucka jest rozpoznawalną już ilustratorką, stylistycznie nawiązującą do estetyki lat 50. Jej rysunki od pierwowzorów różnią: nowocześniejsza forma, silna geometryzacja, większy rozmach, ale humor i lekkość pozostają te same.

Jedna uwaga – „Co tu jest grane?” mimo swej prostoty i dowcipnego ujęcia tematu nie jest książką dla dzieci w wieku przedszkolnym. Z przyjemnością pochłonie ją dopiero siedmiolatek.

MONIKA JANUSZ-LORKOWSKA

W każdą sobotę w RdC (Polskie Radio dla Ciebie) autorka prowadzi program „BIBLIOTEKA MAŁEGO CZŁOWIEKA” – informacje o książkach dla dzieci i wywiady z ich twórcami



Anna Czerwńska-Rydel, „Co tu jest grane?”, Il. Katarzyna Bogucka, Wydawnictwo i Narodowy Instytut Fryderyka Chopina, 40 s.

Przypadek Asy Leventhala

Wczesna powieść Saula Bellowa pierwszy raz po polsku. To „doktorat” solidny, lecz nieco nużący



W roku 1947 ukazała się „Ofiara”, trzy lata po debiutanckim „Człowieku w zawieszaniu” i sześć lat przed „Przypadkami Augiego Marcha”, które miały przynieść Saulowi Bellowowi pierwszy naprawdę wielki sukces.

Pierwsza powojenna powieść późniejszego noblisty dzieje się współcześnie, w rozpalonym słońcem Nowym Jorku. Główny protagonista to Asa Leventhal, niereligijny Żyd, który pracuje jako redaktor w branżowym piśmie. Ma dobrą żonę (aktualnie bawi u rodziny na Południu), jako taką materialną stabilizację (z trudem latami się do niej dobijał) i w gruncie rzeczy jest człowiekiem „prostym”, przeciętnym, wiodącym raczej uporządkowany żywot. Nagle w jego życiu pojawia się dawny przełotny znajomy – goj nazwiskiem Allbee, niegdyś kolega po fachu z innego wydawnictwa, obecnie bezrobotny pijak i wyrzutek. Twierdzi on, że Leventhal stał się przyczyną jego zwolnienia z pracy i upadku – ponieważ także śmierci ukochanej żony – intencjonalnie kompromitując go wobec szefa w akcie zemsty za antysemitkę uwagi, jakie Allbee czynił

na pewnym przyjęciu. „Ofiara” coraz bardziej beczelnie i natrączywie domaga się od Leventhala pokuty i zadośćuczynienia, by mogła rozpocząć „nowe życie”. Leventhal zrazu ma to za absurd, jednak daje się (udręczony dodatkowo tragedią w rodzinie swego brata) wciągnąć w przedziwną grę Allbee’ego. Aż do dramatycznej kulminacji i nieoczekiwanego finału po latach sam nie wiedząc, co naprawdę między nimi niegdyś zaszło.

Na Bellowską próbę analizy tego, co czyni z nami przypadkowe zrządzenie losu oraz co w istocie jesteśmy bliźnim winni, nakłada się tu wątek antysemityzmu, bo Allbee (skądinąd mieniący się potomkiem kolonialnej arystokracji) utrzymuje, że

szaraczek Leventhal życie zламаł mu jako reprezentant potężnego żydowskiego lobby. Są więc w „Ofierze” i Kafka, i Dostojewski (J.M. Coetzee piszący w „The New York Review of Books” o wczesnych powieściach Bellowa zwraca uwagę, że „Ofiara” powiela schemat fabularny „Wiecznego meża” rosyjskiego pisarza), i badanie różnych aspektów społecznego statusu zbiorowości amerykańskich Żydów w latach tużpowojennych. Efekt? Sam Bellow miał do dwóch pierwszych książek stosunek nieco sceptyczny, jeśli sceptycyzmem nazwać można określenie debiutu „magisterium”, a „Ofiara” „doktoratem”. To zakłada chyba, że po nich przyszły dzieła „profesor-skie”. Nawet z tym delikatnym odau-

torskim sceptycyzmem polemizuje jednak wspomniany Coetzee (jego tekst powstał z okazji wydania wczesnych książek Bellowa w kanonicznej serii „Library of America” – dzięki czemu zresztą znalazł się w niej cały powieściowy dorobek pisarza). Powiada on, że „jeśli nawet (»Ofiara«) obarczona jest słabościami, to leżą one nie w wykonaniu, lecz ambicjach. (Bellow) nie uczynił z Leventhala postaci wystarczająco rozwiniętej intelektualnie, by mógł on jak równy z równym dyskutować z Allbeem (i stojącym za nim Dostojewskim) o uniwersalności chrześcijańskiego modelu wezwania do pokuty”.

Główny problem tkwi chyba jednak w czym innym. Oto Bellow, później, właściwie już w „Augim Marchu”, tworzący fabuły poruszające i ekscytujące, w „Ofierze” niestety trochę nudzi.

Otrzymujemy zatem po latach „doktorat” solidny, ale nie wybitny. Szczęściem akademik Bellow nie osiadł po „Ofierze” na laurach.

MARCIN SENDECKI



Saul Bellow
„Ofiara”,
przeł. Lech
Czyżewski,
Czytelnik, s. 416

Między tajemnicą i skandalem

Zakony, które działają jak sekty. Księża, którzy wykorzystują seksualnie dzieci. Wieloletnie kłamstwa i manipulacje. To nie zwiastun nowego filmu Almodóvara ani zapowiedź kolejnej powieści Browna, lecz kulisy działalności Kościoła katolickiego

i przez kilkadziesiąt lat gwałcił nastoletnich chłopców, z drugiej zaś – Toma Doyle’a, księdza, który „szukał sprawiedliwości bardziej uporczywie i konsekwentnie niż ktokolwiek inny”.

Choć w Kościele zdarzają się jednostki uczciwe i autentycznie zaangażowane w posługę kapłańską, jego struktura organizacyjna służy przede wszystkim takim duchownym jak Deggolado. Berry i Renner przedstawiają bulwersujące dowody, na które nie zwrócili uwagi ani urzędnicy watykańscy, ani kolejni papieże. Również dla Jana Pawła II problem pedofilii w Kościele zdawał się nie istnieć. Owszem, powiadają autorzy, Watykan miał prawo ignorować niektóre doniesienia medialne, zwłaszcza jeśli miały posmak taniej sensacji, jednak brak reakcji na wszczęte postępowania sądowe czy tuszowanie udoku-

mentowanych przypadków molestowania należy uznać za działanie z premedytacją.

Książka nie tylko przybliżyła sposób funkcjonowania Kościoła katolickiego, który w XX i XXI w. wciąż chroni nie ofiary, a oprawców, ale także stawia dramatyczne pytanie o źródła tego stanu rzeczy. Tytułowe milczenie okazuje się synonimem poddaństwa i bierności. Magisterium Kościoła i autorytet duchownych wygrywają z ludzką krzywdą oraz prawem. „Mamy do czynienia z osobliwym paradoksem. Papież, który walczył o wyzwolenie od dyktatury politycznej, okazał całkowitą obojętność wobec praw człowieka we wnętrzu Kościoła”.

„Śluby milczenia” (książka ukazała się w USA już w 2004 r., jednak dopiero teraz została przetłumaczona

na język polski) to lektura obowiązkowa zarówno dla ateistów, jak i dla katolików. Problem dotyczy bowiem także polskiego Kościoła, czego dowodzi choćby niedawny przypadek proboszcza z Tylawy, który przez kilkadziesiąt lat wykorzystywał seksualnie dziewczynki. Kolejne tego rodzaju publikacje dowodzą, że zmienia się nasze myślenie na temat Kościoła. Oby także sam Kościół wyciągnął z nich w końcu konsekwencje.

MARCIN ORLIŃSKI



Jason Berry,
Gerald Renner,
„Śluby milczenia. Nadużywanie władzy za pontyfikatu Jana Pawła II”,
przeł. Barbara Stanosz, wyd. Czarna
Owca, 448 s.



Z piekła rodem

Przez 15 lat nie nagrali żadnej złej płyty. Każda kolejna okazuje się jeszcze lepsza od poprzedniej. Najnowsza – „Nord” – to niesamowita podróż Kapeli Ze Wsi Warszawa na Północ

Swieże po sukcesie opery z muzyką zespołu – „A Blessing on the Moon. Part One: The Color of Poison Berries” – w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, a tuż przed kolejną dużą trasą koncertową m.in. w Holandii, Turcji, Wielkiej Brytanii i Niemczech, Kapela Ze Wsi Warszawa wydaje kolejny album światowej klasy. Można go tak określić nie tylko dlatego, że wśród gości pojawiają się członkowie legendarnej szwedzkiej grupy Hedningarna czy kanadyjska szamanka Sandy Scofield. „Nord” jest perfekcyjnym połączeniem surowej i transowej słowiańskiej tradycji ludowej z zimną i pogańską skandynawską. Od tej mieszanki robi się na sercu gorąco, a ciarki przechodzą po plecach.

Otwierając płytę „Ej ty, gburski synie” daje mocno po uszach – to połączenie akustycznego punk rocka, freejazzowej trąbki i barokowych melodii z krótką łagodną wibracją reggae i tematem prosto z filmu akcji na koniec. Wokalna medytacja „Grajto graczyki” przyniata sakralną potęgą chorału, jednocześnie łagodzi niemal ambientową delikatnością, by poderwać następnie ludowym rytmem i hipnotyzującą melodią graną na kobzie. W „Bendzie wojna” zawodzące orientalnymi zdobieniami skrzypce i cymbały niepostrzeżenie prowadzą utwór w rejony ponurego, psychodelicznego rytuału, w którym głosy wiją się

w alikwotach. I wreszcie kameralne miniarczydzie „Gospodynie”. Snuje się powoli na jednym motywie melodii powtarzanym w nieskończoność, przypominając współczesny utwór minimalistyczny i zamyka całość dzieła w przejmującej balladzie.

To tylko kilka najmocniejszych punktów tego albumu, który dobitnie świadczy o tym, że Kapela Ze Wsi Warszawa dawno przekroczyła wszelkie granice geograficzne i stylistyczne. Chociaż teksty „Grajto graczyki” czy „Hola byski hola” śpiewane po staropolsku są oczywiście nieodłącznie związane z naszymi stronami, to sama muzyka jest ze wszech miar uniwersalna. Po wysłuchaniu „Nord” nie ma nawet co zastanawiać się nad globalnym fenomenem zespołu – te emocje po prostu muszą działać na każdego słuchacza. A tajemnicę tej muzyki zdradza na początku „Kujawia-ka czarta” ludowy grójek Władysława Pogody z Kolbuszowej, mówiąc: „Ten, co gra na skrzypkach, ten od diabła”. Cóż, święte słowa.

JACEK SKOLIMOWSKI



Kapela Ze Wsi Warszawa, „Nord”, Karrot Kommando

Z jedną przerwą na kawę

Czy smutek musi być nudny? Skąd. Słuchając „Homemade” Karoliny Kozak, zanurzyć się w nim po uszy. I wciąż będzie go wam mało

Pozornie nic się tu nie dzieje. Mroczny, triphopowy puls, osamotniony fortepian i chórki w kulminacjach, od początkowego „Mimochodem” po kończącego płytę „Sad” odmierzają kolejne piosenki z precyzją legendarnego Johnny’ego Dollara, producenta Massive Attack, Neneh Cherry i Gabrielle. „I tak bez końca”, „Nudzę się”, „Bez pytania” – garść dobrych melodii, dramatyzującą w apokaliptycznych sekwencjach syntezatory... Ale to głównie słowa Karoliny (wokalistki i zawodowej tekściarki, która pisała m.in. dla

Edyty Górniak) dodają tym dźwiękom wartości. Usiłuję tropić w nich banały (taki smutny obowiązek), jednak zapominam o tym przy zaśpiewanej prawie a cappella „Burzy”. „Nie umiem być taka, jak chcesz, nie umiem być rezultatem, nie umiem być mimochodem” – spokojnie mówi ta dziewczyna, gdy wszystko wokół się wali. Polecam przerwę na kawę w trakcie młodego „Pstryk, pstryk”, ale szybko powrót do słuchania. Bo na następny tak dobry kawał polskiego popu możecie poczekać wiele miesięcy.

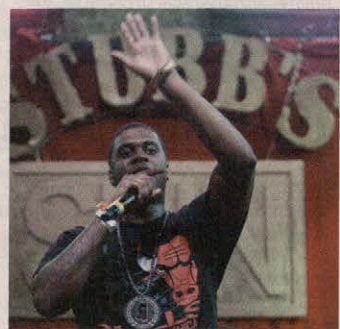
AG



Karolina Kozak, „Homemade”, Sony Music Polska

On naprawdę jest BIG!

Nowego pupila rapowej Ameryki warto słuchać nie tylko dlatego, że rozdaje muzykę za darmo



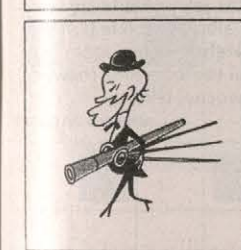
Whip-hopie jak w życiu – najlepsze rzeczy są za darmo. Przy najmniej ostatnio za to, co najciekawsze w czarnej muzyce, nie trzeba nic płacić, by wspomnieć tylko dostępne bezpłatnie w sieci świetne ubiegłoroczne materiały Kendricka Lamara, ASAP Rocky’ego, The Weeknd czy Franka Oceana. „4Eva N a Day” to kolejny darmowy prezent dla fanów dobrego hip-hopu, a zarazem pierwsza w tym roku naprawdę ważna płyta na polu gatunku.



Big K.R.I.T., „4Eva N a Day”, bigkrit.com

Kaczor Donald był zboczeńcem

Obowiązkowa pozycja dla wszystkich, którzy myślą, że szczytem PRL-owskiej propagandy w komiksie były przygody kapitanów Klossa i Żbika. Adam Rusek w swojej książce pokazuje, że było dużo, dużo gorzej



23. Z. Lengren: Prof. Filutok



67. NN. H. Derwich: Tajemnice Poznania



66. NN. E. Frach: Przygody Froncka

Władze komunistyczne długo nie mogły się zdecydować: walczyć z komiksem czy wykorzystać go do swoich celów. Pokusa potępienia była wielka – przecież ojczyzną gatunku była Ameryka: kapitalistyczna, niemoralna, zła. No, ale gdyby tak wykorzystać komiks w celach propagandowych? Rysunkowe paski zaludnić chłopami walczącymi o reformę rolną, robotnikami wznoszącymi Nową Hutę? Przestrzec obywateli, jak wyglądał śpiew, czym kończy się pijanstwo? Zwykła opcja druga, choć przez lata dymek – charakterystyczny element komiksów amerykańskich – był przekleństwem polskich rysowników. Opowiastka rysunkowa z tekstem, chętnie. Ale dymek?

Przedwojenne komiksy propagandowe kreowały obraz nieprzyjaciela – najczęściej w tej roli występowali Niemcy lub Żydzi. Adam Rusek w pionierskiej książce „Od rozrywki do ideowego zaangażowania. Komiksowa rzeczywistość w Polsce w latach 1939–1955”, pokazuje jak po 1945 r. ci drudzy zniknęli z tych opowieści bez śladu. Kiedy w obrazach historycznych pojawiały się obozy śmierci, nigdy nie występowali w nich ci, którzy najczęściej tam ginęli. Nastąpiło spolonizowanie Holocaustu. W „Dziejach Antka Szprotki” ukazano getto warszawskie, ale nie było wiadomo, dla kogo je stworzono. Jedynym wrogiem pozostali Niemcy, po-

czątkowo wszyscy tak samo odpychający, odwieczni wrogowie, spadkobiercy Krzyżaków, prymitywni, pozabawieni moralności.

Sytuację diametralnie zmieniło utworzenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Zaczęło się różnicowanie wizerunku – pojawili się dobrzy Niemcy. W jednej z historii czerwonoarmista romansował nawet równocześnie z niemiecką komunistką i Rosjanką, co szybko odkryła Helga. Nie zrobiła jednak awantury niewiernemu kochankowi, w rezultacie wszyscy razem utworzyli „trójkąt przyjacielski”.

Niemoralne prowadzenie było domeną Amerykanów, których komunistyczna propaganda nie oszczędzała, w czym niemały udział mieli rodzimi rysownicy komiksów. „W salonach państwa Fosterów działa się niesamowite orgie. Wódka i szampan lały się strumieniami. Przy wrzaskliwych dźwiękach boogie-woggie kręciło się w wyuzdanym tańcu kilkanaście par” – przestrzegala polska prasa. Kraj ten przedstawiany był prawie wyłącznie w czarnych barwach. Najczęściej portretowanymi wrogami klasowymi byli kapitaliści nazywani milionerami. Ich bogactwo pochodziło oczywiście z nielegalnych interesów, a niechęć do świata robotników była silna. Komiks „Bunt w fabryce snów” opowiadał o nieudanej próbie

nakręcenia w Hollywood antypolskiego filmu: „Dla tej politycznej produkcji Wall Street przeznacza 15 000 000 dolarów bezzwrotnej i bezprocentowej pożyczki” – czytamy. Uciskani lewicowi intelektualsi musieli zwykle opuścić USA i wyjeżdżać do krajów wolnych i demokratycznych, niektórzy do Polski.

Okrucieństwo i erotyzm dostrzegano nawet w opowieści o Kaczorze Donaldzie. „Pełno w nich wybujałych biustów i obiecujących ud” – odnotował jeden z publicystów. Inny zaś ostrzegał: „Te książeczki dla dzieci propagują różne odmiany perwersji seksualnej. Sadyzm i masochizm są elementami składowymi niemal każdego comicsu. Często są elementy homoseksualizmu lub miłości lesbijskiej”. Rysunki były „nieudolne, prymitywne, obrzydliwe”.

Co innego bohaterowie krajowych papierowych historyjek. Ci brali udział w każdej sterowanej przez władze kampanii prasowej. Kiedy w sierpniu 1948 r. zapoczątkowano ruch łączności ze wsią, na pola wyległy rysunkowe mieszcuchy. Bohaterowie brali udział też w zwalczaniu prywatnej własności oraz biurokracji. Propaganda nie oszczędzała również dzieci. Tytułowym bohaterem „Przygód Felka Węgielka” była gadająca bryła węgla, która zabrała ucznia szkoły podstawowej w podróż w przeszłość, by zaznajomić go z historią ziemi.

Przeciw komiksowi połączyli się nawet zaciekle wrogowie. Katolicy z „Tygodnika Powszechnego” z jednej strony i marksiści z „Odrodzenia” z drugiej zarzucali mu tandetę oraz infantylizm. Trzeba przyznać, że wiele rysowanych wówczas historii było rzeczywiście słabych, prymitywnych pod względem literackim, a marni graficy, kiepski papier i druk tylko utwierdzały tę opinię. Co tu dużo mówić, wybitni polscy artyści rzadko uprawiali to poletko. Była to domena wyrobników ołówka, twórców trzeciorzędnych. Większość twórców miała kłopoty z poprawnym rysunkiem, kompozycją, poprawną anatomią, ekspresją twarzy.

W zbiorze antyamerykańskich satyr, dydaktycznych pogadek, interwencyjnych reportaży odmienny apolityczny charakter zachowały jedynie przygody pana Kluski z „Głosu Katolickiego” oraz spryciarza Kubusia z „Przeglądu Sportowego”, a i klasą samą dla siebie były tworzone cienką kreską Filutki, pogodnie żartobliwe rysunki Lengrena ukazujące się w „Przekroju” od 1948 r.

Już czekam, kiedy Adam Rusek rozliczy komiks epoki towarzysza Wiesława.

JACEK TOMCZUK



Adam Rusek, „Od rozrywki do ideowego zaangażowania. Komiksowa rzeczywistość w Polsce w latach 1939–1955”, Biblioteka Narodowa, 288 s.



Niewypał zamiast bomby

Ceniona, choć słabo w Polsce znana belgijska reżyserka Marion Hansel dotknęła nieco zapomnianego tematu z najnowszej historii – francuskich prób nuklearnych na Pacyfiku, które trwały aż do roku 1996. Niestety, zaledwie dotknęła

Bohaterami filmu są młodzi marynarze z okrętu, który w 1972 r. bierze udział w testach atomowych. Massina (Nicolas Robin) jest delikatny, wycofany, woli kontemplować wody oceanu lub bawić się ze swoim psem, niż spędzać czas z kolegami. Moriarty (Adrien Jolivet) to z kolei chłopak zbuntowany, porywczy, przekonany, że czeka go piękne i ekscytujące życie.

Tych dwóch outsiderów nawiąże ze sobą przyjaźń (Hansel sugeruje nawet na początku homoerotyczną fascynację, ale porzuca ten trop). Dla obu służba na statku okaże się rozczarowaniem i bolesnym doświadczeniem – zaznają głupoty kolegów, brutalności załogi, bezduszości dowódców. Do tego dojdzie jeszcze trauma po wybuchach na atolu Mururoa.

Hansel próbuje pokazać to wszystko w wyciszony, poetycki sposób. W efekcie jednak jej film jest rozlekty, pozbawiony dramaturgii i emocji. Brakuje też kierunku, w którym ma podążać – dryfuje bez celu. Historia

inicjacyjna nie za bardzo chce się skleić z rozliczaniem atomowych ambicji Francji. Prawdę mówiąc, gdyby nie końcowe napisy informujące o liczbie eksperymentów z bronią nuklearną przeprowadzonych na Pacyfiku, niezorientowany w temacie widz mógłby przeoczyć, że to właśnie one stanowią jądro filmu.

W pamięci zostają pojedyncze sceny – takie jak ta, w której Massina wyładowuje złość na swoim psiaku – a najciekawiej wypadają poboczny wątek korpulentnego marynarza, dyskryminowanego i wyśmiewanego przez współtowarzyszy.

Niczym w polskim kinie Hansel ucieka przed politycznym wymiarem opisywanych wydarzeń w eteryczną opowieść „o ludziach”, z której nic nie wynika.

BARTOSZ ŻURAWIECKI



„Czarny ocean”, reż. Marion Hansel, Belgia, Niemcy, Francja 2010, Vivarto, premiera 6 kwietnia

WIERSZ PRZEKROJU

Poetycki kłębek wełny

Wiersz Przekroju to rubryka, w której będę przybliżał twórczość wybranych poetów współczesnych. Osoby choćby pobieżnie obeznane z tą dziedziną doskonale wiedzą, że dzisiejsza poezja to nie tylko Różewicz czy Szymborska (której ostatni tomik trafi w kwietniu na rynek). To także dziesiątki innych świetnych autorów, którzy z różnych względów nie zaistnieli jeszcze w świadomości szerszego odbiorcy.

Mam nadzieję, że Wiersz Przekroju zainteresuje zarówno znawców literatury, jak i nieprofesjonalnych czytelników poezji. Każdy utwór postaram się opatrzyć krótkim, autorskim komentarzem, który na pewno nie wyczerpie możliwości interpretacyjnych, ale być

może zachęci czytelnika do własnych poszukiwań.

Na początek proponuję wiersz Adama Wiedemanna. To poeta, który opisuje otaczający świat i jednocześnie brnie w językowe kalambury. Nie są to wielkie, teoretyczne rozważania, a raczej subtelne podejmowanie tropów, jakie podsuwa rzeczywistość.

Wiedemann jest bowiem jak kot. Chodzi własnymi ścieżkami, poluje na ulotne chwile i bawi się przedmiotami, które napotyka na swojej drodze. Tej poezji nie sposób wyłożyć, tak jak wyklada się teorię grawitacji albo anatomię trzmiela. To raczej kłębek wełny, który czytelnik musi samodzielnie rozwinać. Życzę owocnej lektury!

MARCIN ORLIŃSKI

Adam Wiedemann Lustro ściany

dla Elżbiety Siweckiej

Bardzo w sumie przyjemnie. Przerazenie pełnie i nie ma skocz, moje żabki. Żeby znosić siebie, trzeba mieć odpowiednie lustro, niewymownie dokładne, lecz kogo na nie stać? Kogo stać na to, żeby się budzić rano? Chyba słońce i kota, a kot budzi się po to, żeby dalej spać.

Z tych połączeń wynika nie brak połączenia, ale zestaw. Mówimy zestawami głosek i co z tego, że przez mgłę? Znoszenie bywa równie fajne jak wnoszenie, zwłaszcza jako perspektywa, i zwróć mi tutaj uwagę, wiś jak liść, wywróć na odwrót żywość, żeby dbać.

Przekładać znaczy przerwa. Wykonywa ruch, któremu nigdy nie dość wiary. Wyrozumowany i drobny, i jeżeli nigdy nie używać szminki, to nawet ona, do nareszcie, wtedy nie będzie nawet rzeczy i zdążymy, czemu nie należy się dziwić, tylko jeszcze trochę spać.

Warszawa, 14 grudnia 2011 r.

ADAM WIEDEMANN (1967) – poeta, prozaik, eseista. Wydał siedem tomów wierszy, trzy książki prozatorskie i zbiór zapisów onirycznych. W 2009 r. ukazały się jego wiersze zebrane – „Czyste czyny”. Współautor „Końcówek”,

wywiadu rzeki z Henrykiem Berezą (2010). Laureat nagród PTKW (1998), Fundacji Kościelskich (1999), Gdynia (2008); nominowany do Cogito, Paszportu Polityki, dwukrotnie do Silesiusa i trzykrotnie do Nike. Mieszka w Warszawie.

ROZMAITOŚCI: KRZYŻÓWKA NR 14

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą rozwiązanie.

PRZYGOTOWUJE:
ZESPÓŁ KALIBER 45



POZIOMO:

1. DZIESIEK
7. PIĄTE KOŁO U WOZU
8. BEZKOŚCIOTRUP
9. DUŻA CZARNA
10. TO JESZCZE NIE DRAMAT
13. DAJE SŁOWO HONORU
14. AKCJA ZAKOŃCZONA STRZAŁEM
17. SKRZYPI NA DACHU
18. W SAMOCHODZIE, A ZWŁASZCZA W AUTOBUSIE
20. NIESIONA NA RĘKACH PODCZAS STRAJKU
25. KUCHARZ, KTÓRY DUŻO PIEPRZY
31. EKSPRESOWE INFORMACJE
32. PIĘŚĆ GRAMÓW
33. LEŻY POD DOMEM
34. ROSNĄ NA STOPIE
35. OBIĘCĄ, ŻE NAPRAWI PAŃSTWU
36. SZYBKĄ WZROST GOSPODARCZY

PIONOWO:

1. TRZYMANO W DOMU NA PROCENT
2. WISI NAD WŁOCHAMI
3. LECI NA SZCZECIN
4. ZWOŁOWA
5. PASI SIĘ NA POLU
6. WODZI ZA NOS
11. SKUTEK PALENIA
12. SMRÓD W GACIACH
14. HERB POLSKI
15. JEDNA NA GŁOWĘ
16. BLOND WARKOCZ MNIAM
18. DŹWIĘK W NIEMYM KINIE
19. SPRZEDA TWOJE MIESZKANIE
21. MATEJKO POD GRUNWALDEM
22. A LYŻKA NA TO
23. TRAFIONA ZATOPIONA
24. PO DESZCZU GO W BRUD
26. UJMION
27. WYSTĘPUJE PO KOŁACI
28. NIE DORÓŚŁ DO PIĘTR
29. DŹWIGANY NA PLECACH DO SZKOŁY
30. SILNA GRUPA POD WEZWANIEM

LAUREACI Z NR. 11

Anna Adamkiewicz, Warszawa; Kinga Chlewicka, Warszawa; Andrzej Kozarzewski, Pułtusk; Aleksandra Łudowska, Wrocław; Ryszard Malik, Straszyn; Barbara Piskadło, Opole; Anna Pojda, Rybnik; Wanda Woźniak, Dzierżoniów; Teodor Wszola, Dzierżoniów; Edward Zaczek, Zator

ROZWIĄZANIE Z NR. 12 KRZYŻÓWKA: SZANSA NA SUKCES

POZIOMO: 1. PRZEŻYŁ ROZBIORY – GOLAS 6. PASTA MU Z BUTA WYSTAJE – MAKARONIARZ 8. DODANA FIRANA – FALBANA 9. ŻARCIE W BUDZIE – LECZO 10. KARUZELA Z MADONNAMI – ROTACJA 11. SNOPOWIĄZKA – SMUGA 14. KRÓLOWA ŚNIEGU – ZIMA 15. PRZESZEDŁ SZLAK BOJOWY – KAMASZ 18. POJAZD NA PIECHOTĘ – TRANSPORTER 19. ALEJA ZADURZONYCH – PARK 21. NIEPOROZUMIENKO W KUCHNI – KWASEK 26. TRZEBA ZNOSIĆ JEGO JAJA – ZGRYWUS 31. PIERWSZY BIEG – JOGGING 32. LECZENIE ROSOLEM – KURACJA 33. PIES NA ORZECZ – WIEWIÓRKA 34. LEJĘ WODĘ DORZECZY – ZLEWNIA 35. NA ŻÓŁTYCH PAPIERACH – ZAPISKI 36. BÓŁ BÓŁ BÓŁ – MĘCZARNIA

PIONOWO: 1. KOSTKI RUBIKA – GULASZ 2. IM. MUŃKA STASZCZYKA – LICEUM 3. PSIA KUPA – SFORA 4. UCISKA PTAKA – KLATKA 5. UŻYWA DZIADKA DO ORZECZÓW – BABCIA 6. ZNAWCA WYBIEGÓW – MATACZ 7. PISMO Z MAGAZYNU – ZAPOTRZEBOWANIE 12. LITERATKA JEDNA – MIARKA 13. NAMIESZAŁ W PRZEMYSŁE MOTORYZACYJNYM – GAŹNIK 15. KAMIZELKA NA MAJTKACH – KAPOK 16. NOCNEGO – MARKA 17. RZĄD PUŁKOWNIKÓW – SZEREG 19. KOŁO KOŁA – POJAZD 20. ALE ZASUWA – RYGIEL 22. SQUAT SQUAW – WIGWAM 23. NAWIGACJA, KTÓRA TRAFIŁA NA ŚMIETNIK – SZMELC 24. PAŃSTWO NA U – KRAINA 25. GDZIE NIEZYWI, TAM SIĘ ŻYWI – HIENA 27. ZE RWANA – WARAN 28. POZWALA KOWALSKIEMU KUPIĆ DIAMENT KOWALSKIEJ – SKAZA 29. PTASIE G – GRYPA 30. CZĘSTO GĘSTO – ŚCISK

Najlepsze
utwory jazzowe
na 4 płytach CD!

The Best
Jazz
...Ever!

W sklepach
od 20 marca

TOK Pierwsze Radio Informacyjne
cojestrgrane
zwierciadło
sens MALEMEN
AUDIO
jazz forum The European Jazz Magazine
EXISTENCE
era jazzu
INFO MUSIC.PL
merlin.pl

4CD
Deluxe Edition

DWA TENORY, BARYTON, BAS
i LIPNICKA RAZ!



Debiutancki album zespołu
VOICE BAND
„W siódmym niebie”

gość specjalny
Anita Lipnicka

już w sprzedaży

zeskanuj telefonem ten kod
i odwiedź oficjalną stronę zespołu



22 | **promat**
Polska muzyka od 22 lat

Music from **EMI**

STYL burda dobre **centrum** KINOPOLSKA **cam.pl** **passion** **Radio Piłsudski**